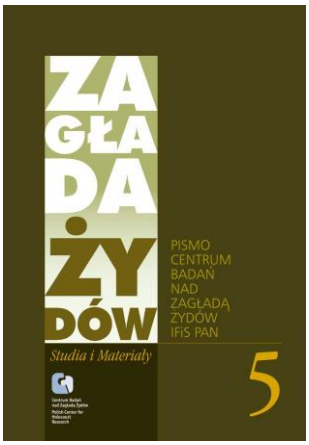


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 5 (2009)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Pamiętnik Cesi Gruft "W Imię Boże!"

Cesia Gruft's Diary - In God's Name!

Łukasz Biedka

lkb@poczta.onet.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.326
Strony/Pages: 394-445

CC BY

OPEN ACCESS

Łukasz Biedka

Pamiętnik Cesi Gruft

„W Imię Boże!" – tak zaczyna się pamiętnik i dziennik 17-letniej Cesi Gruft z Przemyśla, pisany zimą na przełomie 1942 i 1943 r. Inwokacja ta umieszczana była na pierwszej stronie wszystkich chyba zeszytów szkolnych przed wojną (zwyczaj utrzymał się jeszcze kilka lat po wojnie), nie jest to więc raczej tytuł pamiętnika. Może odruchowo Cesia tak zaczęła pisać swój pamiętnik, jak rozpoczynała nowy szkolny zeszyt? W każdym razie ta zwyczajowa inwokacja w okupacyjnym pamiętniku nabrała głębszego znaczenia. Na jego stronach Cesia często wzywa Boga. Na takim też wezwaniu pamiętnik się urywa. Obejmuje okres czterech miesięcy. Nie wiemy, co się wydarzyło później. Do wyzwolenia Przemyśla pozostawało jeszcze długich szesnaście miesięcy.

Oddajemy do rąk czytelnika niezwykle interesujące świadectwo. Pamiętnik Cesi Gruft udostępniła nam jej córka, która znalazła zeszyt po śmierci matki. To właśnie rodzina Cesi zainicjowała dzieło odczytania pamiętnika i przepisania go w formie nadającej się do druku. Wiele czasu zajęło odczytanie rękopisu i praca redakcyjna nad tekstem. Szczęśliwie udało się odczytać prawie wszystko. Pamiętnik pisany był w skąpo oświetlonej stodole, na stołku do dojenia krów. Zapewne z oszczędności, z uwagi na brak papieru, tekst jest ciągły, bez akapitów, a z braku wprawy – bez odpowiedniej interpunkcji. Te uchybienia poprawiliśmy, aby tekst stał się bardziej czytelny. Dostosowując ortografię i gramatykę do zasad współczesnej pisowni, zdecydowaliśmy się pozostawić jednak niektóre błędy językowe i ortograficzne, a także regionalizmy, oraz zachować stylistykę, żeby oddać koloryt tekstu, duch języka, jakim posługiwało się środowisko autorki, oraz specyficzny słownik okupacyjnej i gettowej polszczyzny. Opuszczenia zaznaczone w tekście wskazują fragmenty usunięte przy pracy redakcyjnej, głównie ze względu na to, że nic nie wnosiły do opisu wydarzeń i przeżyć autorki. Opuściliśmy zbędne dygresje, niezrozumiałe komentarze odnoszące się do mało istotnych faktów i osób, powtórzenia. Niektórych mało ważnych fragmentów nie można było usunąć bez szkody dla ciągłości narracji. Młoda autorka swobodnie przechodzi od konwencji świadectwa, opisu codziennej walki o byt i życie do konwencji pamiętnika pensjonarki, a styl, którego używa, nosi wyraźne ślady jej lektur. Pozwoliliśmy sobie usunąć kilka małych fragmentów, w których zanadto pobrzmiewa Mniszkówna czy Gojawiczyńska, psując ten znakomity literacko tekst. W nawiasach kwadratowych umieściliśmy słowa omyłkowo opuszczone przez autorkę i rozwinięcia skrótów,

w klamrach – słowa najbardziej właściwe w danym miejscu, nieczytelne w tekście, albo słowa wyjaśniające sens zdania.

Pogodzić dobroć z wielką skąpością

Dziennik Cesi w szczególny sposób ukazuje problem trudnych relacji ratowanych i ratujących. Pisany na gorąco, jest niezwykle cennym, unikatowym dokumentem. W tym wstępie nazywamy dziennik Cesi Gruft pamiętnikiem, bo ona sama tak nazywa swój zeszyt, i rzeczywiście, tekst nosi wszelkie cechy dziewczęcego pamiętnika. Należy jednak pamiętać, że po obszernym wprowadzeniu staje się on właściwie dziennikiem, co oznacza, że od tego momentu przekazuje obraz wydarzeń minimalnie tylko przefiltrowany przez krytyczny umysł. Cesia opisuje wydarzenia, zanim zdąży ochłonąć. Autorka pisze impulsywnie i emocjonalnie, czasem niesprawiedliwie. Jest niezwykle – jak na swój młody wiek – wnikliwym psychologiem, o wyostrzonym przez okoliczności zmyśle obserwacji. Choć nie ma dystansu do opisywanych wydarzeń, czasami stara się być obiektywna. I właśnie te próby racjonalizacji, świadome temperowanie wybuchów złości czy pretensji stanowią między innymi o wartości narracji. Gospodarze i ich synowie przechowujący Cesię i jej ojca w stodole na przedmieściu Przemyśla są w opowieści Cesi jednocześnie źli i dobrzy, mądrzy i głupi, wyrachowani i ofiarni. Łącząc w sobie różne cechy charakteru, są prawdziwie wielowymiarowymi postaciami, a ich zachowanie, przy uważniejszym oglądzie, wymyka się łatwym ocenom. Niczym nieskrępowana pisanina Cesi, pełna wzajemnie sprzecznych ocen, świetnie oddaje jej ambiwalencję w stosunku do gospodarzy. A także ambiwalencję samych gospodarzy w stosunku do przechowywanych Żydów. To znakomicie ilustruje walkę sprzecznych uczuć u ludzi, którzy znaleźli się w sytuacji daleko posuniętej zależności. Nie lubimy tych, którym coś zawdzięczamy, którym jesteśmy coś winni. I tych, od których jesteśmy zależni. Raczej też nie lubimy tych, którzy są całkowicie bezradni i zależni od nas. To główny wątek psychologiczny, którym podszyta jest relacja Cesi. Innym, splecionym z poprzednim, są zabiegi autorki wokół obrony poczucia własnej wartości, obrazu własnej osoby. Ten motyw jest dobrym przykładem psychologicznej strategii, do jakiej uciekamy się w sytuacji skrajnego upokorzenia, w obronie własnej godności. Wielkościowe fantazje, iluzja górowania nad innymi i pogarda wobec nich są naturalnymi odpowiedziami na sytuację poniżenia i zależności. Dzięki drobiazgowej relacji Cesi, w której rzetelność nie mamy powodu wątpić, możemy też obserwować, jak z wyzwaniem, jakim było spotkanie z Pokusą, radzą sobie udzielający schronienia Żydom gospodarze. A przechowywali oni Gruftów, Cesię i jej ojca za pieniądze i obiecaną po wojnie działkę rolną. Co ciekawe, dla Gruftów jest oczywiste, że za wszelką pomoc muszą płacić i znalazłszy się w trudnej sytuacji nie tylko nie szukają bezpłatnej pomocy, ale nawet nie wspominają o takiej możliwości. Jakby nie zdawali sobie sprawy, że taka możliwość istnieje. Należy w tym miejscu nadmienić, że wniesiona przez Gruftów „opłata przedwstępna" miała się nijak do ówczesnych cen panujących na „rynku ukrywania Żydów" – dali tyle, ile akurat

przy sobie mieli. Innymi słowy, Gruftowie zapłacili według niższych stawek „cennika”[1]. Nie wiemy, czy byli tego świadomi. Przechowujący ich gospodarze – owszem. Świadomość, że nie robią dobrego interesu, miała niewątpliwy wpływ nie tylko na ich stosunek do przechowywanych. Również do samych siebie. Mogła powodować próby racjonalizacji, uzasadniających ryzykowną decyzję pomagania Gruftom. Nie wiemy, jak sami gospodarze nazwaliby motywy, jakimi się kierowali.

Lektura pamiętnika uzmysławia, że – jak pisze Jan Grabowski – trudno jest odróżnić tych ratujących, którzy od Żydów żądali za przechowywanie zbyt wygórowanych sum, od tych, którzy zadowalali się jedynie zwrotem kosztów utrzymania. Przytaczana przez tego badacza opinia chłopki (też z przemyskiego), że „jedni z powodu interesu pomagali, a inni, bo mieli serce bogate”[2], wydaje się jednak znacznym uproszczeniem. Jak słusznie zauważa Grabowski, „stosunki między stronami ewoluowały” i stosunek pomagających do przechowywanych mógł się zmieniać[3]. Tu możemy dodać, że dynamika zmian nie zawsze była jednokierunkowa. Mogła być też tak gwałtowna, że w istocie oznaczała po prostu ambiwalencję, walkę sprzecznych uczuć i postaw. Gospodarze są chimeryczni – raz pomocni, innym razem nie. Wydaje się, że w ich przypadku mamy do czynienia z motywacją mieszaną. Przechowywali dla pieniędzy i z dobrego serca jednocześnie.

Nasza potrzeba precyzyjnej kategoryzacji postaw jest naturalna. Wynika z niepokoju, jaki odczuwamy w sytuacji niejednoznacznej, mglistej i nieoznaczonej. Chcielibyśmy wiedzieć, które postawy pochwalić, a które potępić. Okazuje się, że nie zawsze jest to możliwe. A Cesia radzi sobie z tym w prosty sposób – opisuje zachowania i je ocenia. Różnie. I nie stara się, żeby te oceny były konsekwentne, zgodne, jednoznaczne. Ni to się dziwi, ni to konstatuje, że można pogodzić dobroć na przykład ze skąpstwem.

W porozumieniu z rodziną Cesi zdecydowaliśmy się zmienić w tekście nazwisko rodziny przechowującej ją i jej ojca. Powodowaliśmy się tym, że relacja Cesi, często bardzo krytyczna, pełna złośliwości i obelg pod adresem gospodarzy, niewątpliwie sprawiłaby przykrość potomkom pomagających, którzy – jakby nie było – ryzykowali życie. Ocenę tej decyzji pozostawiamy czytelnikom.

Tekst dziennika jest niezwykle gęsty. Klarowny i szczery sposób, w jaki Cesia spisuje „czyny i rozmowy”, sprawia, że wszelkie dalsze komentarze są właściwie zbędne. Pozostaje jedynie, uprzedzając lekturę, zasygnalizowanie czytelnikom kilku kwestii, na które warto zwrócić uwagę.

---

[1] Por. J. Grabowski, *Ratowanie Żydów za pieniądze: przemysł pomocy*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2008, nr 4, s. 91–106.

[2] J. Grabowski, *Ratowanie Żydów za pieniądze…*, s. 82; zob. A. Cała, *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*, Warszawa 2005, s. 168 oraz B. Engelking, *„…Zupełnie zdani jesteśmy na nich…”. Relacja ratujących z ukrywanymi na przykładzie dziennika Feli Fischbein*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały” 2008, nr 4, s. 144–169.

[3] J. Grabowski, *Ratowanie Żydów za pieniądze…*, s. 84.

Świnka niekolczykowana – za nią śmierć, jak za nas

Słowem, które w zeszycie Cesi pojawia się najczęściej, jest „chleb", odmieniany przez wszystkie przypadki. Ma się wrażenie, że każda kromka chleba jest w tym pamiętniku policzona wielokrotnie, przez różne osoby. Bo chleba było za mało i Gruftowie byli wiecznie głodni. Ale wiemy też, co mogłoby się stać, gdyby przechowujący zapewnili przechowywanym dostatek chleba. Jedni i drudzy nie zdawali sobie sprawy, że najczęstszą przyczyną wpadek ludzi ukrywających Żydów, również w Przemyślu, były donosy sąsiadów odnotowujących nagłe zmiany w ich zachowaniu, zwłaszcza zmiany w aprowizacji domowych gospodarstw czy w poziomie zamożności. Uczestnicy wydarzeń mogli o tym nie wiedzieć. Trzeba w tym miejscu przyznać, że taki ewentualny postronny obserwator, nieżyczliwy gospodarzom, nie zauważyłby u nich oznak nagłego wzbogacenia się. Zakup dodatkowych bochenków chleba – owszem.

Zarówno Cesia i jej ojciec, jak i gospodarze niby wiedzą, co im grozi. Nie znają jeszcze konkretnych przykładów konsekwencji, jakie można było ponieść za przechowywanie Żydów. Jedyne znane egzekucje Polaków udzielających pomocy Żydom miały miejsce w Przemyślu po okresie, który jest opisany w pamiętniku[4]. Czytając go, ma się nieodparte wrażenie, że nie zdają sobie sprawy z grozy sytuacji i że igrają z losem. W czasie gdy inni Żydzi ukrywani byli miesiącami w piwnicach i na strychach, w ciemności, przy zachowaniu całkowitej ciszy, ukrywająca się Cesia wraz z ukrywającą ją gospodynią razem przemierzają wieczorami miasto, a Gruftowie kontaktują się z licznymi znajomymi. Gospodarze niemal zupełnie nie zmieniają swojego trybu życia. Ich dom odwiedzają goście i interesanci. Gospodarze i sami Gruftowie mają świadomość, które z podejmowanych działań są szczególnie ryzykowne, i są przekonani, że stosują wystarczające środki bezpieczeństwa. Można się tylko dziwić niefrasobliwości połączonych wspólnym losem bohaterów opowieści i zastanawiać, czy aby – paradoksalnie – nie pomogła ona w ostatecznym powodzeniu przedsięwzięcia.

W tym miejscu należy zauważyć, że sam pamiętnik, pełen nazwisk, jest jednym z licznych przykładów daleko posuniętej nieostrożności Cesi. Nietrudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby trafił w niepowołane ręce. Nawet duża więzienna cela nie pomieściłaby wszystkich wymienionych w nim osób. W najlepszym wypadku Cesia z ojcem znaleźliby się bez dachu nad głową.

Jeśli chodzi o środki ostrożności, to inną interesującą kwestią, nieporuszoną w pamiętniku wprost, pozostającą w tle, jest stosunek ukrywającej się Cesi i jej ojca do pozostałych członków dużej rodziny Gruftów. Wydaje się, że nie tylko niesnaski w rodzinie Gruftów były powodem, dla którego każde z rodzeństwa starało się

[4] Publiczna egzekucja pomagającego Żydom Michała Kruka odbyła się we wrześniu 1943, egzekucja przechowującego Żydów Michała Gieruli na początku 1944, a Stanisława Kurpiela (niepubliczna) późną wiosną 1944 r., niedługo przed wyzwoleniem miasta. Zob. J. Różański, *Działalność gestapo w Przemyślu i okolicy*, „Studia Przemyskie" 1993, t. 1.

ratować wyłącznie swoją najbliższą rodzinę. Podobnie jak inni ukrywający się po aryjskiej stronie Żydzi, nie zdradzali sobie nawzajem planów i adresów kryjówek. Zazdrośnie strzegli swoich sposobów na ocalenie i dróg ucieczki – często przed własną dalszą rodziną. Takie elementarne zasady konspiracji pozwalały zminimalizować tragiczne skutki ewentualnej wpadki i uniknąć pojawienia się w kryjówce nieproszonych gości narażających wszystkich innych[5].

Nie wiemy, jaką rolę w decyzji pomagania Żydom odegrał fakt, że gospodarze podejmowali w tym czasie inne ryzykowne działania. Między innymi hodowali w ukryciu niezakolczykowaną świnię (co było surowo karane przez okupanta), a gospodarz, pracujący dla niemieckiego wojska, przyjmował łapówki od innych rolników. To oswojenie się z sytuacją ryzyka mogło nieco podnieść próg lęku przy podejmowaniu decyzji o przyjęciu pod dach dwojga Żydów.

Nie bez znaczenia dla zrozumienia ich wzajemnych relacji jest też to, że Gruftowie i przechowujący ich gospodarze pochodzili z tej samej sfery. Znali się przed wojną, pochodzili z tych samych stron[6] i najprawdopodobniej wszyscy mieli chłopskie korzenie. Przechowujących i przechowywanych nie dzieli tu przepaść społeczna czy obyczajowa (o rasowej nie ma co wspominać – środowisku bohaterów opowieści pojęcie rasy było całkowicie obce). Natomiast przynależność religijna i narodowa zupełnie nie była przez Gruftów manifestowana. Należeli do rodziny na wpół zasymilowanej. Asymilacja nie była przecież procesem zachodzącym wyłącznie w środowisku żydowskiej inteligencji. I choć autorka podkreśla dzielący strony kontraktu dystans (z powodów, o których wyżej), jest w tym mało przekonywająca. Do pewnego stopnia uważa swój los za wspólny z losem ludności nieżydowskiej. Cesia z dużą ufnością odnosi się do znajomych uprzywilejowanego pochodzenia. Tak, jakby uważała, że pomoc jej się należy. Tym głośniej wybrzmiewa jej protest przeciwko przemocy i wykluczeniu. W odczuciu tej młodej, całkowicie niemal spolonizowanej Żydówki to, co się dzieje dookoła, jest gwałtem na naturze, a nie tylko na prześladowanych Żydach. Cesia uczciwie i współczująco odnotowuje represje, które spotykają Polaków. Wrogami są Niemcy i „on", podmiot domyślny (Hitler), a nie „goje". Inaczej niż w wielu wspomnieniach, gdzie Żydzi pozostają osamotnieni wobec wrogiego i niezróżnicowanego świata Niemców, Ukraińców, Polaków, w pamiętniku Cesi wszyscy mieszkańcy trójnarodowego Przemyśla – Polacy, Ukraińcy i Żydzi – mają jednego wroga: Niemców.

W pamiętniku Cesi niewiele jest w gruncie rzeczy śladów silnej identyfikacji z żydostwem, możliwej choćby z racji wspólnoty losów. Tak, jakby tragiczna sytuacja, w jakiej znalazła się ona i jej rodzina, była losem jednostkowym, indywidualnym. Najwyraźniej nie jest w stanie ogarnąć myślą zagłady, której poddawany jest

[5] Jak to się stało przy ul. Tatarskiej w Przemyślu, gdzie młodziutka Stefania Podgórska ze swoją małą siostrą ukrywały dwóch bliskich sobie i mało dyskretnych Żydów. Wkrótce pojawili się inni, „na grandę", jak wówczas mówiono – 11 osób. Szczęśliwie wszyscy cudem przeżyli. Zob. *Pamiętam każdy dzień… Losy Żydów przemyskich podczas II wojny światowej*, red. J.J. Hartman, J. Krochmal, tłum. A. Andrzejewska, Przemyśl 2001, s. 28–49.

[6] Gospodyni pochodziła z Medyki, rodzina Gruftów z niedalekich Mościsk.

jej naród. Trudno przypuszczać, żeby Cesia nie zauważyła, że wraz z jej matką wywieziono z Przemyśla (na śmierć – co do tego Cesia zdaje się nie mieć wątpliwości), w dwóch kolejnych akcjach, letniej i jesiennej, kilkanaście tysięcy Żydów, czwartą część mieszkańców miasta. Najwyraźniej mamy tu do czynienia z wypieraniem ze świadomości grozy wydarzeń, w celu mobilizacji sił do walki o przetrwanie. 17-letnia Cesia czuje się na co dzień względnie bezpieczna. Wspomina w pamiętniku chłopców ze swojej szkoły, porównuje swoją urodę z urodą koleżanek, rozpamiętuje dziewczęce rozterki. Słowem, powierza pamiętnikowi wszystko to, co powierzałaby w czasach pokoju. Nie można jednak powiedzieć, że Cesia ucieka od dramatycznej rzeczywistości w świat marzeń i fantazji. W jej opowieści te dwa światy współistnieją. Wojna i wszechobecna śmierć nie są w stanie przeszkodzić Cesi w dojrzewaniu, przeżywaniu miłosnych uniesień i zawodów, snuciu planów na przyszłość. Jej świat nie runął, nie skończył się. Straszliwa katastrofa nie jest końcem świata. Cesia chce przeczekać trudny czas, przeżyć i doczekać pokoju, kiedy wszystko wróci do normy i życie będzie się toczyło dalej.

Oprócz obrazu wydarzeń, psychologii i uczuć ich uczestników, pamiętnik Cesi jest kapitalnym źródłem informacji o okupowanym Przemyślu, o stanie ówczesnej wiedzy mieszkańców miasta na temat wydarzeń na froncie i o stosunkach panujących w mieście. Ciekawy jest – ledwie zarysowany – obraz codziennych stosunków między Polakami i Ukraińcami. Dodatkową wartość pamiętnika stanowi potoczysta narracja, swada, z jaką Cesia opowiada o błahych nawet wydarzeniach, a spostrzegawczość autorki, jej reporterski talent i poczucie humoru sprawiają, że trudno się oderwać od lektury. Obok swoistych perełek językowych i ciekawych regionalizmów natykamy się w tekście na zaskakujące oświadczenia, gdy na przykład, pod wpływem lektury pożyczonego od gospodarzy „Przewodnika Katolickiego", Cesia identyfikuje się ze zbiorową żydowską winą i bierze na siebie współodpowiedzialność za „zdradę Chrystusa". Na swoją obronę ma tylko argument przedawnienia. W innym miejscu jej drobna wzmianka o cechach charakteru świadczy o stopniu, w jakim przyswoiła sobie elementy negatywnego wizerunku Żyda. Takich ciekawych rozważań i zaskakujących stwierdzeń jest w pamiętniku więcej. Pamiętnik Cesi Gruft jest czymś więcej niż dokumentem. I ma niewątpliwie walory literackie.

Chcielibyśmy w tym miejscu gorąco podziękować córce Cesi, pani Alinie Borensztajn, za przekazanie pamiętnika matki do publikacji, za informacje pomocne przy redagowaniu tekstu i za pracę nad odczytaniem pamiętnika. Pracę tę sama dedykuje swoim dorosłym synom: „Dla Yarona i Ariela – aby pamiętali".

Słowa kluczowe
Przemyśl pod niemiecką okupacją, ukrywanie się, pomoc Żydom, płatna pomoc, stosunki polsko-żydowskie

Abstract
Yet unknown diary of the 17-year old Jewess hiding in a barn near Przemyśl, Cesia Gruft, in the moths following the liquidation of the Przemyśl ghetto. It is preceded by an article briefly analyzing the difficult, complex and psychologically complicated relationships between the persecuted Jews and their rescuers. The analysis shows the difficulty of an unambiguous categorization of the rescuers' motives and the diary's text ends with a short comment on the background of help given as well as on the future fate of the people mentioned in the diary.

Key words
Przemyśl under the German occupation, hiding, rescue, paid helpers, Polish-Jewish relations

Cecylia Gruft

W Imię Boże!

W ten sposób zaczynam pisać ten pamiętnik. Raz zaczęłam już pisać, ale przerwałam i spaliłam, bo to było jeszcze w „Gehtcie”[1] i chodziły rewizje i mama absolutnie kazała mi spalić. Więc spaliłam. No i nie zawsze miałam czas pisać. A teraz jest coś zupełnie innego. Wprawdzie nie wiem, czy przeżyjemy tę wojnę, a nawet bardzo wątpliwe, ale w każdym razie uprzyjemnia mi czas. Bo położenie nasze jest okropne, ale nie można narzekać, bo może być gorsze. Chcę sobie streścić wszystko od początku, nie od początku wojny, bo na to nie mam papieru, ale od czasu jak przyszliśmy tutaj. A więc zaczęło się tak:

Było to we wtorek, 18 listopada 1942 roku. Poszliśmy z tatem jak zwykle do roboty. Ale ponieważ coraz częściej mówiło się w domu o wywózce, prawie całą noc nie spaliśmy, bo Zośka się pakowała, a sąsiadki znosiły rzeczy do kryjówki do piwnicy i co chwila przylatywała któraś inna. Tato się rozebrał i położył, a ja położyłam się o wiele później i w ubraniu. Do chlebaka spakowałam resztki prowiantu i chleba, a rano owinęłam się kocem i nocną koszulą (bo nie zamierzaliśmy więcej wrócić, tylko nocować w Bakończycach w szopie, a wujek Bernard miał nas zamknąć).

Jeszcze przed pójściem do pracy poleciałam do Wassnerów, bo Mania miała dać tatowi metrykę ukr[aińską], akuratnie w tych latach, co tata. Gdy tak wracałam zziajana, zobaczyłam Julka B. rozmawiającego z Tuśkiem. Bardzo się zawstydziłam, bo rzeczywiście okropnie wyglądałam. Miałam na sobie ten mój cudny prochowiec, z którego wyłaziła podszewka, i kurtkę, tą okropną, do tego jeszcze kocem i grubą koszulą byłam obwinięta tak, że wyglądałam ekstra. To też jak poczułam na sobie jego wzrok, poczerwieniałam jak rak. Ale pal to licho, trzeba pisać dalej. Nie wolno mi się rozpisywać, bo nie mam dużo papieru, ale taką już mam naturę, że nie umiem w skróceniu pisać. Ale dalej.

Przy pracy było jak zwykle. Pracowaliśmy w pałacu i tu przyjeżdżało wojsko po *ausgabe*[2]. [...] Można było zauważyć zdenerwowanie. Dwie dziewczynki przyszły z getta i mówiły coś o stemplowaniu kontrolek. Cyla Wasner i Luna Eisenscher zwolniły się i poszły się przypatrzeć, co słychać w getcie. Każdy był nieswój. Gdzieś tak około godz. 3-ciej gruchnęła wieść, [...] że od razu stąd mamy iść do koszar[3]. Nagle widzimy, że do kancelarii zbliżają się Igiel, Traner, Schafer z odkrytymi gło-

[1] Autorka konsekwentnie używa słowa „gehto” – „w gehtcie” albo „w gehcie”, „do gehta”.

[2] *Ausgabe* – wydawanie zaopatrzenia, poczty, przesyłek. Położona w pobliżu kolejowego dworca towarowego na Bakończycach placówka pełniła najwidoczniej również funkcję *Ausgabestelle* – oddziału doręczeniowego (przesyłek, bagażu), punktu zaopatrzeniowego.

[3] Chodzi o konkretny budynek dawnych koszar przy ul. Czarnieckiego, koło rampy kolejowej, gdzie po pierwszej akcji urządzono warsztaty, zalążek getta „A”. Ten budynek budził

wami i o coś proszą kapitana[4]. A że z nami była żona Tranera, więc zaraz posłaliśmy ją, dowiedzieć się, co słychać. Przyleciała spłakana i potwierdziła to, że mają nas koszarować i że mąż poszedł do getta po córeczkę i że może mu się uda uratować jakieś rzeczy. Zaraz zrobił się ruch. Ludzie zeszli z pola i zgromadzili się koło kancelarii. Kapitan telefonował i coś tam jeszcze mówił, w końcu dał poświadczenie dla wszystkich i powiedział, że można iść po rzeczy i że o 4-tej muszą wszyscy tu być i zaraz do koszar. Zrobił się płacz, ruch, ten pyta, czy może wziąć ze sobą matkę, ten siostrę, ten brata, ta męża, ale kapitan powiedział, że on odpowiada tylko za swoich ludzi. Zaraz zaczęli rozdawać kontrolki. Ja wzięłam moją i tata i... zdaje mi się, że wtedy w tym chaosie pokierowała mnie jakaś siła. Bo zamiast pójść z wszystkimi do getta (wprawdzie [...] oni wrócili[5]) od razu pomyślałam sobie: wszystkie najważniejsze rzeczy mam w mieście, a resztę pal diabli. Mam ja się narażać? Wolę nie i od razu poszłam na folwark. Tam zastałam też tata, który był szczęśliwy że ja nie poszłam. Cała rodzina Gruftów była już w komplecie. Tymczasem tato kupił gdzieś na drodze 2 chleby i jabłka i powiedział mi, że my i wujek Romek pójdziemy do szopy, a Bernard nas zamknie.

Tymczasem Anda, Ida, Wikta i nawet babcia, wszyscy przygotowywali się pójść każdy w inne miejsce do miasta, a babcia do chłopki na folwarku. W między czasie zrobiło się już porządnie ciemno i ludzie z getta już poprzychodzili i przyleciał Bernard, powiedział że musi iść z ludźmi do koszar bo kapitan tak mu kazał. Ale byliśmy prawie pewni że jemu jako zarządcy nic się nie stanie i że nas w szopie zamknie [...]. Nagle Bernard nadleciał po raz trzeci z krzykiem, że on jest za nas odpowiedzialny i że kapitan się pyta: „*Wo ist der Bruder?*"[6] i że musimy iść do koszar. Straszniśmy się zmartwili, a tu Bernard, ciągle nas wołając i grożąc, już wybiegł, a my za nim. Trudno! Nie ma rady! I polecieliśmy za Bernardem. Po drodze z folwarku do kancelarii (bo koło kancelarii zebrali się wszyscy) tato tłumaczył, że przecież on za nas nie odpowiada i przekonywał go. Ale skąd! Jak ja idę, to i Ty musisz iść, tak powiedział i poleciał naprzód, będąc pewnym, że my idziemy za nim. Tymczasem przy bramie do dworu zatrzymaliśmy się i tato się mnie pyta, co robić, czy iść do koszar, czy do Wańka. Wańków jest to strażnik fortów mieszkają-

---

grozę również dlatego, że stamtąd wywożono w czasie pierwszej akcji Żydów przygnanych z okolicznych miejscowości. Zob. *Sefer Przemysl*, red. A. Menczer, Tel Awiw 1964, s. 385.

[4] Kapitan Wehrmachtu. Warsztaty i gospodarstwo Wehrmachtu na Bakończycach, tzw. placówka, zatrudniało Żydów przy pracach na pobliskim dworcu kolejowym i przy robotach rolnych, chroniąc ich tym samym przed wywózką. Przeniesienie pracujących tam Żydów do getta mogło oznaczać likwidację chronionych miejsc pracy i przeniesienie pracujących dla Wehrmachtu Żydów pod jurysdykcję miejscowego gestapo. Wspomniany Igiel był w grupie Żydów ocalonych przed wywózką w pierwszej akcji przez słynnego porucznika Wehrmachtu Alberta Battla i to on starał się po wojnie o tytuł Sprawiedliwego dla Battla i majora Liedtkego. Zob. AŻIH, 301/682, Zeznanie Samuela Igiela oraz 302/332, L. Firm, „Holocaust".

[5] Placówka na Bakończycach przetrwała ostatecznie do lata 1943 r. Zob. AŻIH, 302/332, L. Firm, „Holocaust".

[6] *Wo ist der Bruder?* – „Gdzie jest brat?"

cy vis a vis dworu w dolinie i sam bez żadnych sąsiadów. On miał wziąć babcię na stałe, ale potem nie chciał i tato potem chciał iść tu z Körnerową i jeszcze z jedną panią. I też się rozleciało. No i teraz w ostateczności tato chciał pójść do niego. Gdy mnie się tato zapytał, ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Bo jakże można w takiej chwili decydować i to jeszcze za tatę? Z bezradności rozpłakałam się. I dość długo staliśmy koło bramy, nie wiedząc, gdzie iść. I nagle tato zadecydował. Nie, nie pójdziemy do koszar. Chodź do Wańka!

Wierzę, że wtedy na pewno ręka Boska nami kierowała. Oby dalej tak nami kierowała, byśmy mogli razem z tatem, mamą i Romkiem przetrwać tę wojnę i szczęśliwie w zdrowiu doczekać się pokoju. Daj nam Boże! Było już zupełnie ciemno. Jak złodzieje zakradaliśmy się na przełaj przez pola i doszliśmy niespostrzeżeni do Wańka. Ja tu byłam może 2–3 razy, ale tato był już tu obznajomiony. Tato otworzył jakąś boczną furtkę i prawie bez tchu ze strachu i zmęczenia wpadliśmy do szopy na siano. I tu gdyśmy trochę odsapnęli, tato kazał mnie iść do środka i zapytać się, czy możemy być tu niby do piątku, bo w piątek miał przyjechać Chuchraj i miał mnie zabrać, ale myśmy doskonale wiedzieli, że nie przyjedzie. Strasznie mi było przykro. Okropnie. Wyobrażałam sobie ich miny na widok tak bardzo nieproszonych gości. Ale trudno. Tato powiedział, że się boi tam iść, bo może tam ktoś jest, a ja to coś innego. Poszłam.

Z bijącym sercem zapukałam do drzwi i weszłam. Wańkowa stała koło stołu, a Miśko mył się, a stary jak zwykle leżał na łóżku. Zapytałam, czy możemy wejść i przenocować, na co Wańkowa po pewnym wahaniu odpowiedziała, że możemy, a Miśku zaraz się zapytał, jak długo. To mnie trochę speszyło, ale powiedziałam, że do piątku. Zadowolona z odpowiedzi pobiegłam do tata i zaraz przyszliśmy razem. Wtedy odetchnęłam. Przecież jakiś dach nad głową, niech będzie choćby i stodoła. Siedzieliśmy wtedy dość długo. Na kolację zjedliśmy po kromce naszego chleba z masłem (bo akuratnie kupiłam u brata Racy 25 dkg masła) no i potem mieliśmy po jednym jabłku. Spać nam było… co tu gadać, tak jak na sianie i koniec! Ale chwała Bogu i za to. Aha, prawda, na kolację oprócz tego wszystkiego swego Wańkowa dała nam po garnuszku mleka. Na śniadanie znowu nasz chleb i masło, a tylko jej mleko i po jabłku. Potem Wańkowa przyniosła drugie śniadanie, 4 placki z kartofli, takie smażone, ale duże, i herbatę jak nam się zdawało że z sokiem, ale potem się dowiedziałam, że to była tylko esencja zaparzana z listków róży suszonej. A na obiad zupa z krupek perłowych z fasolą i paluszki. Na drugi dzień śniadania już nie dała. I tak: w pierwszych trzech dniach byliśmy syci, a potem zaczęło się głodowanie. Okazało się, że Wańkowa daje nam za mało jedzenia, ale przecież mówić nic nie wolno, bo nie ma rady. Serce mi się ściska, po prostu nie mogę się na to patrzeć, jak mój najukochańszy nade wszystko tatuniu głoduje. Ach gdybym ja mogła w ogóle nie jeść, a tato wszystko. Kiedy właśnie tato chce, żebym ja jadła wszystko i więcej od niego, bo się zaraz denerwuje.

Tato miał wszystkiego 1200 zł, zdaje mi się. Więc liczyliśmy, że to będzie na 3 miesiące bodaj. Ale skąd! Pierwsze 2 zgodzili się po 500 zł miesięcznie, a teraz już z ledwą bidą zgodzili się po 750 zł i modlę się, aby nigdy już wyżej nie chcieli […].

Z początku spaliśmy w stodole zakopani w siano jak zwykle. Kłuje jak cholera. Człowiek się w ogóle nie rozbiera, mogą się wszy namnożyć. Okropnie trzeba uważać. Tymczasem jest już zimno. A najgorsze jest to wstawanie na stronę. Człowiek się zakopie w to siano, opatuli łachami, a tu wstawaj. Ja śpię w takiej celi może na 2 m długa i na 1 m szeroka, jest w tym okienko na 20 cm szerokie. To zrobili Wańkowie dla nas, bo przy drzwiach nie można siedzieć, bo jakby ktoś nadszedł? Więc przy ścianie od stajni jest taka komóreczka, gdzie są kozy, taka wypukła do stodoły, więc od ścianki tej komóreczki od wewn[ętrznej] ściany stodoły ciągnie się moja „sypialnia". Piszę moja, bo tato śpi dalej i wyżej, bo on jak otworzy oczy, to musi widzieć światło. Więc tato robi sobie wyżej dziurę i tam śpi. Czasami Wańkowa daje nam na noc flaszki z ciepłą wodą. Dobra rzecz. Jak zrobiło się gorzej zimno, to Wańkowie zrobili nam legowisko w stajni. W kącie pod samym oknem jest może 1,25 m szeroka, na 1,5 m długa i na 1 m wysoka skrzynia pełna węgli. I na niej położyli czyjś materac, a że był za wąski, więc od ściany trochę siana i było o wiele lepiej i cieplej. Zaraz na lewo od nas mieliśmy, no i mamy, 2 sąsiadki – jałówkę i krowę. Dają nam się porządnie we znaki. Bo jałówka strasznie dzika i zawsze ściąga nam siano, które mamy pod głową. Po jakimś czasie materac się podarł od tego ciągłego szurgania i Wańkowa powiedziała, że ta właścicielka tego materaca [...] chce go sprzedać i wzięła go nam. Teraz zrobiło się gorzej, bo chociaż dało się na węgle dosyć słomy, to jednak ciągle się zesuwała i w końcu leżeliśmy na gołym węglu. No a przecież dużo słomy nie ma u p. Wańków. Boki bolały okropnie. A tu trzeba wiedzieć, że obracać się do woli nie można, bo jak ja się na przykład położę na jednym boku i opatulę się łachami, a więc 1 kocem, długim sięgającym aż do szyi (naszym), drugim sięgającym do pasa, no i w końcu kurtką, a głowę opatulam prochowcem, a na prochowiec ten długi koc, więc tato mię tak opatula jak kukłę jakąś, a jak się obrócę, to wszystko nakrycie się przewraca i na nic. Bywa czasami, że jestem śpiąca i wśród nocy, gdy mnie już tak porządnie bok zbolał, to wtedy wolałam zmarznąć, aniżeli zaczynać zawijać się od początku. Ale to jeszcze nic. Najgorzej było, jak zaczęły się mrozy. I to Pan Bóg się nad nami zlitował, bo przecież te prawdziwe mrozy były niecały 1 tydzień wszystkiego. Nasze szczęście. Mieliśmy wprawdzie u Popowicza naszą pierzynę, a prosiło się, aby przynieść stamtąd moją walizkę, to może dopiero po 2 tygodniach prośby Miśku zdecydował się pójść i to Władek na plecach sam przyniósł. [...] My wprawdzie tak bardzo nie nalegaliśmy, bo woleliśmy pierzynę sprzedać za 400 zł. Jedynie ratowała nas poduszka, którą prawie zaraz na początku Wańkowa dla nas uszyła. [...] Chwała Bogu że jest podłużna, więc starczy na nas dwoje. A więc jak były takie straszne mrozy, tę poduszkę zamiast pod głowę braliśmy na nogi. Ale wstać i iść na [stronę] to było coś okropnego. Bo wszystkie rzeczy na zewnątrz były lodowato-zimne. Wychodząc, nie odchylałam rzeczy, tak jak się to robi z pierzyną, tylko wyciągałam nogi, aby to ciepło w środku zostało. Na dole u podnóża tej skrzyni stał stołeczek, na którym Wańkowa doiła. A kalosze tata jako pantofle, bo buty do spania rozbieramy, gdyż to są takie niemieckie wojskowe, podkute gwoździami, które strasznie przyciągają zimno. Kalosze są okropnie zimne, bo stoją na ziemi i to przy drzwiach. Więc wkładam nogi w te kalosze i od-

chodzę parę kroków od naszego legowiska. Przez stajnię wzdłuż jest taki rowek, aby gnojówka ściekała, więc do tego rowka. Dygocąc z zimna zostawiam kalosze na dole i wdrapuję się na górę, aby czym prędzej się nakryć. Naprawdę Ręka Boska nas chroni od jakiejś choroby bo do dzisiaj (9 II 1943) jeszcze nie chorowaliśmy. Piszę do dzisiaj, bo pierwszy raz dzisiaj ja mam katar i troszeczkę gardło mnie boli, a tato trochę kaszle. Ale to nic. Wprawdzie przez ten czas to tak kolejno bolała ręka, a potem noga i w końcu bok, tato mówił, że to taki wędrujący reumatyzm, ale chwalić Boga przeszło. [...]

Staszek kupuje prawie codziennie „Krakauer-Zeitung", no i co tatowi się uda wyczytać między linijkami, to wiemy, i od tego zależy nasz nastrój. Czasami mi się zdaje, że już, już będzie koniec, a czasami kiedy to będzie Bóg wie jak długo i że my tego nie doczekamy. Także ustosunkowanie naszych gospodarzy zależy od tego, jaka sytuacja. Jak coś słychać, że dobrze, wtedy oni są lepsi, obiady lepsze, no i więcej dają, a jak nic dobrego, albo ktoś tam im powiedział, że to jeszcze będzie długo trwało, to wszystko gorsze. Pewnej nocy, zdaje się było to gdzieś koło 20 stycznia, z gazety mogliśmy się dowiedzieć, że sytuacja na frontach jest dla Niemców okropna i sami pisali, że się „przejściowo" cofnęli z Trypolisu i z gazety, z komunikatu, można było wywnioskować, że koło Stalingradu są okrążeni. A że Stalingrad już wnet padnie. Jednym słowem komunikaty nadzwyczajne.

Tato mój był coś podenerwowany. Gdy przyszliśmy stamtąd (bo my co wieczora, jak u Wańka nie ma nikogo obcego, chodzimy tam i grzejemy się, jemy kolację i nie idziemy spać, aż oni wszyscy idą i zawsze ja kładę się pierwsza, a potem tato), ja rozebrałam buty i kładę się. Poobwijałam się jak zwykle, no i zaraz tato się kładzie. Wspomina coś, że go krzyże bolą (bo my, jak było tak bardzo zimno, przez cały dzień siedzieliśmy na „łóżku" z nogami poobwiązywanymi i jak było co czytać, czytaliśmy. No i przecież każdy wie, że w nocy leżeć na węglach, a w dzień siedzieć i leżeć tak na przemian, to coś okropnego. I do tego jeszcze taki nerwus i taki niecierpliwy człowiek jak mój tato. Jeszcze przed położeniem się stale narzekał, że go krzyże bolą i bok. Potem przy obwijaniu ciągle było nie tak jak tato chciał i ciągle głośno utyskiwał. Gdy w końcu się położył, okazało się, że mu było za nisko i nie sięga okna. Czułam, że się na coś zanosi. Więc mimo że byłam opatulona, wstałam i poprawiłam tatusia, wzięłam całe siano spod mojej głowy i dałam mu, no i dałam mu zarękawek pod głowę, byle było mu dobrze. No w końcu położył się i myślałam, że już wszystko w porządku. Ale skąd!!! Usiadł raptownie i kazał podać sobie buty. I był taki zdenerwowany, powiedział że nie będzie spać, tylko będzie stać. A na dworze było może 25° mrozu. Ale ja nic nie mówię, bo wiem, że to może tylko pogorszyć i już drżę ze strachu i z zimna. Tymczasem tato, jak mu podałam but, zaczął krzyczeć i bić się butem z całej siły w czoło. Ale krzyczeć na głos, tu gdzie w dzień, a tym bardziej w nocy, musi się mówić szeptem. Okropnie krzyczał i znęcał się nad sobą. Bo tato w takich wypadkach jest zupełnie za siebie nieodpowiedzialny, po prostu traci przytomność umysłu. Wtedy go chyba opętał szał nerwowy. Na darmo go obejmuję i błagam by przestał, ledwą bidą mi się udało zabrać but, aby się tak nie bił po głowie. Odebrałam but, więc się bił rękami po gło-

wie i krzyczał, że on niepotrzebnie żyje, że ja sobie dam radę bez niego i że weźmie scyzoryk i popełni samobójstwo. Tak, zaraz to zrobi!

Co ja miałam wtedy robić? Objęłam go za szyję i widzę, że jest cały zlany potem, a tu jest okropnie zimno. I przemawiam do niego jak do maleńkiego dziecka, że przecież teraz, gdy komunikaty są takie dobre i jest nadzieja (w którą sama nie bardzo wierzę), teraz on się załamuje? I pytam się go, czy mnie już nie kocha? I jak może córkę samą zostawić? A on ciągle jak małe dziecko, że się chce zabić i koniec. Ja tej nocy chyba nie zapomnę, póki żyć będę. Potem mówił, że się ubierze i pójdzie do stodoły. Więc ja mówię, że pójdę z nim. I nagle drzwi stajni się otwierają i staje w nich Wańków, który zwabiony krzykiem przyszedł się popatrzeć, co się dzieje. Właśnie wtedy ja klęczałam na posłaniu, a tato stał koło mnie. Oczy miałam zapłakane, a on przyszedł ze światłem. Na widok jego tata otrzeźwiał i powiedział zmieszany, jąkając się, że się przemawiamy. Bo co biedny miał powiedzieć. Wańków powiedział tym swoim głosem, żeby tak nie krzyczeć i poszedł. Szczęście, że on nadszedł. Bo po jego odejściu tatowi zrobiło się lepiej. Ale jeszcze, po jego odejściu (czy przed przyjściem, nie pamiętam dokładnie), tato mówi do mnie: „Ceśka, ja wybiję szybę". Tak ni stąd ni zowąd. A gdy ja zaczynam perswadować, żeby tego nie robił, odpowiada, że jak nie to nie! Rozpacz mnie ogarnia.

Gdy Wańków odszedł, tato zaczął się martwić, że oni za to, że tak krzyczał, nas wygonią. Więc znowu staram się go przekonać za wszelką cenę, że nie wygonią nas i że tak strasznie nie krzyczał. Potem zaczynam mu mówić: dlaczego się załamał i to właśnie dzisiaj kiedy komunikaty są tak dobre i sytuacja nadzwyczajna. Przyznaje mi rację i narzeka na swoją złą naturę. Potem mówi, że pójdzie do stodoły. Na to ja się odzywam, że go samego nie puszczę i że pójdę z nim. A więc już nie pójdzie. Przez ten cały czas ja pół-leżałam a pół-klęczałam i byłam zupełnie odkryta. Drżałam wprawdzie i dygotałam cała, ale nie ze zimna, chociaż na dworze było bardzo zimno. Dopiero po pewnym czasie domyślił się, że ja jestem na pewno odkryta i że w ogóle jeszcze nie spałam, a to wszystko przez niego. Wtedy zaczął mnie prosić, abym się położyła, nakryła i spała, bo on w ogóle nie będzie spać. Położyłam się i nakryłam jako tako, ale chociaż mi się chciało spać, starałam się wszystkimi siłami nie spać, a na zewnątrz udawałam, że śpię, by tata nie drażnić. Po 2 może więcej godzinach słyszę, jak tato powoli postękując rozbiera buty i kładzie się spać. Pochyla się nade mną i nakrywa mnie i szepcze co chwila „moje biedne dziecko, moje kochane". Ach jak chętnie była bym wstała i zarzuciła mu ręce na szyję i wycałowała. Ale nie można, bo by to tylko go zmartwiło, że ja przez niego jeszcze nie śpię. Więc udaję, że śpię.

Nad ranem, gdy przychodzą krowom pierwszy raz dać jeść, obudziliśmy się i umówili się, że jak ktoś z nich zapyta się co do krzyków w nocy, to powiemy, że mnie się coś śniło i że krzyknęłam strasznie, a tato się ze mną kłócił, dlaczego ja krzyczę i tak od słowa do słowa i zaczęła się kłótnia. No i potem tak się rzeczywiście powiedziało, a oni uwierzyli. Potem tato strasznie ubolewał, że nie dość że mi tyle przykrości wyrządził, to do tego jeszcze całą winę musi złożyć na mnie. Bo też zaraz wszyscy zaczęli się ze mnie nabijać i mnie dokuczać, ale ja sobie z tego nic

nie robię i w każdej chwili dziękuję Panu Bogu, że się już skończyło i równocześnie proszę, by się już nigdy więcej nie powtórzyło.

Zapomniałam napisać jeszcze przedtem, co się stało z robotnikami w Bakończycach. A więc w pierwszym dniu byli w robocie według informacji. Na drugi dzień sami widzieliśmy, jak szli tędy na przełaj przez łączkę do roboty. Szła Lilka Hirschberg i Gienia Wasner z naszej paczki i inne dziewczęta. Tak bym chętnie wyszła i porozmawiała z nimi, ale przecież nie można. W 3 i 4 dniu robotników w ogóle nigdzie nie widziano. W sobotę 22 XI 1942 przyszedł wujek Bernard tutaj do Wańków i powiedział, że przyjechali gestapowcy i zabrali na auta wszystkich robotników, a on był gdzieś dalej i zwiał.

W międzyczasie Wańków był gdzieś na drodze i spotkał wujka Romka, który siedział w stodole we dworze. Ten przystąpił do Wańka i zapytał się go, czy nie mógłby wejść do niego i ogolić się. Więc Wańków powiedział, że on się zapyta żony (bo wiedział, że przecież my nie chcemy absolutnie, aby oni wiedzieli, że my tu jesteśmy, więc myślał, że może i ten wujek nie chce się widzieć z Romkiem). Ale oni przecież doskonale ze sobą żyli, więc gdy Bernard usłyszał, że Romek stoi na dworze, wybiegł do niego i, jak Wańków opowiadał, że się aż całowali z radości, że się widzą. Nocowali tu, a nad ranem sobie poszli. Co im? Mają aryjskie papiery. I to wszystko było robione w największej tajemnicy przed nami, a nam mówili, że jeszcze nic nie mają. W ogóle odnoszenie się ich wszystkich do nas w czasie tej wojny cały czas było okropne. Nie chcę o tym pisać, bo tego się i tak nie zapomina. A ta cała nienawiść wynikła z tego, że tato, jako najbogatszy z całej rodziny, powinien był połowę tego krwawo zapracowanego majątku rozdzielić między rodzeństwo, tak jak oni zresztą chcieli. Ida i Rosa posag, nieboszczyk Moniek sklep, no a reszta też coś. Wtedy byłby dobrym bratem, wtedy byliby go kochali. Dziękuję! Za pieniądze, rodzeństwo! Jeszcze kilka razy Bernard tu przychodził i nocował albo siedział cały dzień i wieczorem odchodził, bo on przecież miał rzeczy we dworze, no i różne sprawki i sprawunki. Gdy był pierwszym razem, to opowiadał co do robotników, że ich nie zabrali, opowiadał też, że ten szofer, który tak strasznie źle żył z nim, dowiedziawszy się, że babcia jest na folwarku, poskarżył się i Bleuer musiał ją autem odwieść do getta. Jak tam było i co, my się nic nie możemy dowiedzieć, bo Wańkowie boją się pytać, bo „na złodzieju czapka się pali".

Tymczasem Rodyczowa, gdy u niej byłam, opowiadała mi, że była koło getta (bo tam są otwory i ludzie chodzą kupować od Żydów różne rzeczy za bezcen) i widziała tam Fan ... [nieczytelne] też coś sprzedawała. Potem coś się w getcie paliło, więc Władek jeździł gasić i opowiadał, że widział masę swoich znajomych, a z moich współpracowniczek Cylę Wassner. Potem, gdy tu na górze na Słowackiego widział Chankę Unger, która robiła przy śniegu razem z innymi, więc opowiadała mu, że jest w getcie razem z braćmi, a przecież oni wszyscy pracowali tu w Bakończycach. Gdy się ją zapytał, czy co słychać z Runią Grossman i ze mną [...], powiedziała, że Runia jest w getcie, a ja podobno gdzieś jestem schowana razem z ojcem w mieście albo na wsi. Więc tak o mnie myślą w getcie. I tak nic nie możemy się dowiedzieć,

co tam słychać, kogo wywieźli? Okropnie jestem ciekawa, co słychać z Racą i jej rodziną? Strasznie bym się chciała dowiedzieć. Ale co zrobić, nie można. I tylu rzeczy jestem ciekawa i tyle pytań mi się nasuwa, że mi głowa pęka. Nic nie wiem. Nawet nie wiemy, czy właśnie była akcja, ale zdaje się że tak, bo gdy byłam u Popowicza, to mi powiedział, że był koło getta i rozmawiał z Petersilową i ona mu z płaczem opowiadała, że oni są, ale Staszka, jej najstarszego syna zabrali. Ale kogo zabrali i co, i jak to było, nic a nic nie wiemy.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, zdaje mi się, że niedługo po naszym przyjściu tutaj, byliśmy „po części" świadkami okropnego widowiska. Strasznego. Było to rano. Właśnie dopierośmy wstawali. Słyszeliśmy wprawdzie kilka strzałów, ale nie przypuszczaliśmy, co to może być. Nagle przylatuje Wańkowa razem ze Wańkiem i opowiada, że na cmentarzu strzelają Żydów. Serca nam zamarły. I nagle słyszymy turkot karabinu maszynowego, raz za razem. I znowu, i znowu. O, zgrozo! Ja, moim zwyczajem, jak zwykle w takich wypadkach zaczęłam drżeć na całym ciele. Nagle usłyszeliśmy jęki, a potem znowu strzały. Któż potrafi opisać, co się dzieje w sercu schowanego Żyda, gdy słyszy, że niedaleko naprzeciw strzelają Żydów. Myślałam że oszaleję. Różne myśli jak błyskawice rozdzierały mi mózg. A może tam strzelają kogoś ze znajomych? A może Racę albo kogoś z jej rodziny. Na samą myśl włosy mi dęba stanęły, a koło serca poczułam taki chłód, jakby mi ktoś dał kawał lodu. Boże, zlituj się nad nimi i nad nami! Wańków poszedł się popatrzeć. Wrócił po chwili cały złamany i zgnębiony. [...] Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że podobno zabili 110 Żydów, albo więcej, z więzienia. Przeważnie tych, co złapali z aryjskimi papierami. Opowiadał, że widział sam na swoje oczy, jak wybrali 4 mężczyzn, żeby znosili rzeczy, a potem kazali im się rozebrać do naga, zanieść rzeczy na auto i potem żeby zeszli do jamy, specjalnie na ten cel zrobionej ze schodkami, gdzie leżało już dużo Żydów z tamtej akcji, a teraz ci ostatnio zabici, i zastrzelili ich[7]. Barbarzyństwo mało powiedziane. Pan Bóg się im za to odpłaci i sowicie wynagrodzi. I takie hiper okropne rzeczy dzieją się w XX wieku w środku cywilizacji. Kultura!? Ale to nic, będą za to pokutować. Wprawdzie to nie wróci życia tym zabitym, ale w każdym razie choć ci co zostaną, będą mieli satysfakcję. Modlę się, abym razem z tatem, mamą i Romkiem należała do tych ostatnich, ale nie wiem, jak mi jest przeznaczone.

Przez ten czas gdy my tutaj jesteśmy, byłam coś 5 czy 6 razy u Popowicza, a 2 razy u Rodyczowej. Chodzę przeważnie z Miśkiem, a tylko raz byłam z Wańkową. Pierwszy raz miałam straszną tremę. Było to zdaje się na nowy rok. Ubrałam sobie Wańkowej płaszcz, opatuliłam szalem i poszliśmy. Przy sobie miałam tę legitymację ze szkoły Handlowej, z moją fotografią, na nazwisko Marii Hodyń jak ukr[aińskie][8]. I miałam oprócz tego poświadczenie ze sklepu, że tam pracowałam

[7] Dokładnie tak przebiegała ta egzekucja. Zabito wówczas 119 Żydów. Jednym z trzech Żydów noszących ubrania mordowanych był Marian Bień, któremu udało się uciec i przeżyć wojnę. Pozostawił zeznanie, zob. AŻIH, 301/1938.

[8] Hodyń to nazwisko panieńskie babki autorki – Machli, www.jewishgen.org/jri-pl/.

i zostałam zwolniona. To były moje dokumenty. To wprawdzie jest nic, bo ludzie mieli już „Kenkarty", ale lepszy rydz niż nic. Przez drogę słyszeliśmy kolędy. To dzieci chodzą od domu do domu. Potem na Smolki 26 w oknie na parterze grała orkiestra i słyszeliśmy, jak tańczono. Wtedy zapominałam o strachu i o tym, że jestem Żydówką i zasłuchałam się w muzykę, która mnie zaraz porwała i rozczuliła, i zaraz przypominałam sobie, jak to było. Popowicza zastałam w domu, [...] a kiedy poszedł po pieniądze do pokoju i zgasił światło, obok w czyimś pokoju zaczął grać patefon. I zdaje się, że mnie na złość 2 płyty tak bardzo dobrze mi znane: „Niebieskie róże" i „Spójrz". Myślałam, że zwariuję. Z nadmiaru wzruszenia rozpłakałam się. Ja, która nie potrafię wydobyć łzy na poczekaniu. I zaraz tysiące myśli zaczęły mi przychodzić do głowy. Przy „Niebieskich różach" przypominało mi się, jak Fela Schattner pisała i śpiewała pochwalne hymny na cześć niebieskich oczu Fredka Steinhardta, no a co za tym idzie, jego stosunek do mnie i różne myśli głupie i mądre tłoczyły się jak głupie do głowy. Na szczęście ten pan zamknął patefon, zgasił światło i wyszedł. A potem znowu zaczęłam myśleć z goryczą, dlaczego ja mam tak cierpieć. Za co? Co ja zawiniłam? Dlaczego Popowicz, czy tysiące i miliony takich, może mieszkać w dobrze urządzonych pokojach ze światłem elektrycznym i ciepłych i może sobie wygodnie chodzić po ulicach i kinach, kawiarniach i gdzie tylko chce, a ja mam siedzieć u Wańka w stajni, spać na węglach z Felką i Burką, wąchać ich smród o głodzie i chłodzie i co chwila być narażoną na śmierć. Za co? Za jakie grzechy? Za to, że jestem Żydówką? Więc to jest moja wina? Ja bym się chętnie nawet w tej chwili stała katoliczką. Bo to żydostwo ani mię nie grzeje, ani nie ziębi. [...] Czytałam tutaj 2 książki „Przewodnika Katolickiego" i on mnie strasznie nastroił przeciw Żydom. Po prostu jestem antysemitką. [...] Dlaczego ja mam być Żydówką wszędzie i przez wszystkich pogardzana i odtrącana, jak ja mogę być równie dobrze Polką. Wprawdzie teraz ten łotr strzela zarówno wykrztów, jak i Żydów, ale przecież można gdzieś wyjechać, gdzie nikt nie zna. Dlaczego ja mam głodować i patrzeć się z bólem serca, jak mój tato głoduje, jak ja mam warunki żyć jak pani w pełnym znaczeniu tego słowa? Za to że kiedyś... kiedyś Judasz zdradził Chrystusa? Zgoda, mają być czego źli chrześcijanie, ale to przecież nie jest moja wina!? Ale nic, niech się już wojna skończy, a ja z całą rodziną doczekamy pokoju w zdrowiu i szczęściu, wtedy będzie inaczej i mam nadzieję, że będę mogła zadość uczynić moim pragnieniom i stać się tem, do czego mam pociąg.

Potem chodziłam do Popowicza z Miśkiem. Wysprzedaliśmy się już kompletnie. Popowicz wszystko nam sprzedaje. Byłam też 2 razy u Rodyczowej, może by mogła gdzieś pożyczyć 2000 zł. A my po wojnie oddamy 3000. Gdy przyszłam do niej pierwszym razem, to mnie przyjęła dobrze. Strasznie się mną ucieszyła i zapraszała do środka, ale ja nie chciałam wejść, bo tam była cała izba jeńców rosyjskich, tych co się przepisali na „Volkdeutscherów" i uważają na pozostałych[9]. Śmiali się, żarto-

[9] „Uważają na pozostałych" – pilnują pozostałych. Chodzi o sowieckich żołnierzy, którzy jako ochotnicy (*Hilfswillige*, *Hilfswachmänner*) pełnili służbę wartowniczą również w niemieckich obozach jenieckich, m.in. w Wólce Pełkińskiej koło Jarosławia oraz w Nehrybce

wali i pili wódkę. Hitler prowadzi z nimi wojnę, a oni są równi z każdym katolikiem, na tyle że mogą swobodnie chodzić i nie są narażeni w każdej chwili na śmierć, a ty Żydówko giń, bo ty jesteś winna tej wojnie! Tak mówi „Führer" i tak jest! Gdy poszłam do niej drugim razem, wszyscy już spali [...]. Młody Rodycz uczył się, bo on przecież chodzi do szkoły. On poszedł jej powiedzieć, że ja przyszłam, i po chwili wrócił, mówiąc, że matka kazała powiedzieć, że co do tych pieniędzy, to nic. Po to ja tu szłam, narażając się na śmierć, by to usłyszeć. Jakby mi kto po twarzy dał. Teraz dopiero widzę, jak ten Popowicz jest dla nas dobry, no a co dopiero Wańkowie, którzy jacy są to są, ale przecież jednak ratują nam życie.

Przez ten czas, to znaczy aż do teraz, Chuchraj [nie] był tu u Wańków. Co to nas kosztowało, zanim mogliśmy go tutaj ściągnąć. Nie wiem dotychczas, co o nim sądzić; czy mówił prawdę, czy jest cygan. Posłaliśmy Wańka na rowerze do niego z listem, w którym błagaliśmy, by nam pomagał co miesiąc, by nam posyłał 1 m zboża i 2 m kartofli co miesiąc tutaj, a tato mu podpisze 10 morgów pola. Zaraz powiedziałam, że to jest chucpowate żądanie, ale przecież jednak innego wyjścia dla nas ani ratunku nie ma. A to przez Chuchraja tato wydał na legitymację i kartę wymeldowania 1500 zł. No i mama, jeszcze jakeśmy byli w getcie, to dała do nich całą walizkę z rzeczami na przechowanie. Oprócz tego jest winien 700 zł za komplet kołdrowy. Ale co tu gadać!? Co chce, to przecież może zrobić, on jest pan, a my co? Na ten list odpowiedział, że u niego też się nie przelewa, ale może w piątek przyjedzie i przywiezie coś. Minął jeden piątek, drugi, trzeci, a Chuchraja ani słychu. Tato mówił, że jeszcze napiszemy do niego list, jak na ten list nie przyjedzie, to ja pojadę w przebraniu chłopki do niego. Napisałam list. Tekst prawie sama ułożyłam. No, jak już na ten list nie przyjedzie, to już nic nie pomoże, nawet jak ja do niego pojadę.

Aż pewnego dnia, w piątek, akuratnie przed ukraińs[kim] Bożym Narodzeniem przylatuje Wańkowa do nas do stajni i opowiada że był Chuchraj. [...] Powiedział, żeby Wańków przyszedł poniedziałek koło „Narodnego Domu" o godz. 11-tej, on tam będzie. Akuratnie tak się złożyło, że Wańków nie mógł pójść, więc napisałam list i poszła Wańkowa. Nie pamiętam, zdaje mi się, że jeszcze w tym samym dniu przyszedł. Wańkowie kazali nam wejść osobno, naprzód tata, a potem ja, żeby się nie dowiedział, że my tu u nich jesteśmy. A więc naprzód wszedł tata, a potem ja. [...] A więc zaczęła się rozmowa. Tato zaczął go prosić. Więc on powiedział, żebyśmy nie myśleli, że on o nas zapomniał i że machnął ręką. Nie, naprawdę nie miał czasu. [...] A z kenkartami to powiedział, [...] że prawdopodobnie i dla mnie i dla tata wystara się o „Kenkarty", tak że jak w marcu się przeprowadzi do Prałkowiec, to nas będzie mógł ze sobą zabrać. Wprawdzie to jest bardzo blisko Przemyśla, ale nas tam nikt nie zna. Jeśli chodzi o ścisłość, to ja temu nie wierzę. Gdzieżby on się chciał narażać dla nas, tym bardziej że powiedział (gdyśmy go prosili, aby przywoził to, co ma nam przywieźć, żeby przywoził tu do Wańka), że on się boi, bo

---

i Pikulicach koło Przemyśla. Por. L. Włodek, *Lata 1939–1944 w przemyskich obozach jenieckich*, Przemyśl 1969.

my musimy go zrozumieć, że jest ojcem rodziny i ma 4 dzieci, więc musi uważać. Ja mu wierzę. Ale przecież przez posyłanie nie naraża się. Tato mu powiedział aby nam posyłał chociaż 1/2 metra żyta i 1 metr ziemniaków, na co on się zgodził, tylko z tym że te rzeczy dla nas będzie zostawiał na Zasaniu, gdzie ma swój zajazd u jednej kobity dozorczyni. A my żebyśmy stamtąd sobie zabrali. A na znak, żeby ona wydała, porwał złotówkę na połowę i dał nam jedną i sobie jedną. Jedną on da tej kobiecie, drugą my posłańcowi i gdy poślemy posłańca z tą podartą połówką, gdy się będzie zgadzać z tamtą półzłotówką, to ona nam wyda. Dobry pomysł. Jeszcze trochę z tatem rozmawiali i zaczął się żegnać. Przy pożegnaniu ze mną powiedział mi: *„Голова до гори панно Цесю, прошу тримайте і не упадайте на духу а всьо буде добре”*[10].

Dobrze mu tak mówić? Gdyby on wiedział, w jakich warunkach ja mam nie upadać na duchu, to nie wiem, czy by tak mówił. A żebyś wiedział, jaki jest rezultat tych odwiedzin, kochany pamiętniku? Otóż pan Chuchraj dotychczas, to jest do 15 II 1943 roku, posłał dopiero 18 kg pszenicy. Dlatego też napisaliśmy z tatem list, w którym prosimy go, aby nam miesięcznie posyłał 1000 zł albo 1 metr pszenicy i to do Popowicza. Ponieważ to jest b. ważny list, a boimy się, aby Miśko po drodze nie przeczytał go, więc postanowiliśmy, że ja sama pójdę z Wańkową albo Miśkiem do Popowicza. Prawdę powiedziawszy, to teraz jest o wiele niebezpieczniej iść jak przedtem, dlatego że okropnie dużo ludzi dostało kartki do Niemiec. Wszystkie sklepy oprócz rejonowych i wszystkie lokale i warsztaty, które nie pracują dla celów wojennych, mają być zlikwidowane i wszyscy ludzie mają wyjechać do Niemiec. W ogóle nie ma żadnego ratunku ani reklamacji. Odrywają dzieci od matek, żony od mężów. Sama Wańkowa zna kilka wypadków, gdzie matki zostawiły 2–3-letnie dzieci i same musiały wyjechać. A wiadomo, że on przydziela tutejszych ludzi na najbardziej niebezpieczne placówki, tam gdzie najwięcej bombardują i gdzie jest najcięższa praca. Mówili, że prowadzą ich pod eskortą jak bandytów, a płacz i lament okropny. Podobno w Krakowie i Rzeszowie zrobiono zamach na *Arbeitsamt* i zniszczono wszystkie papiery, a w Krakowie podobno podpalili budynek. Skończył z Żydami, zabiera się do katolików. Bardzo często robiono też obławy na ulicach, kinach. Dlatego też mam stracha iść, ale nie chcę nic mówić tatowi, bo jemu dużo nie trzeba, gotów mnie nie puścić, a to taka sprawa, że ja muszę być sama. Niech się stanie, co mi jest przeznaczone.

Strasznie chciałabym skończyć ten opis do dzisiaj i zacząć pisać normalnie codziennie. Chciałabym jeszcze podać charakterystykę wszystkich naszych „gospodarzy” i ich stosunek, każdego z osobna, do nas. Możliwe, że jest to głupie rozpisywać się o każdym z osobna, ale chcę opisać dokładnie naturę każdego z nich,

[10] „Głowa do góry panno Cesiu, proszę się trzymać i nie upadać na duchu, a wszystko będzie dobrze” (*Hołowa do hory panno Cesju, proszu trymajte i ne upadajte na duchu, a wsio bude dobre*). Znajomość ukraińskiej mowy była w Przemyślu dość powszechna, a biegłość w posługiwaniu się cyrylicą autorka zawdzięcza dwóm latom szkolnym w okupowanym przez Sowietów Przemyślu. Język rosyjski lub/i ukraiński były wówczas przedmiotami obowiązkowymi.

aby kiedyś (o ile dożyję) zorientować się, w mocy jakich ludzi my znajdujemy się. A więc zaczynam :

1) **Stary, to znaczy Mikołaj Wańków**, głowa domu. Jest to mężczyzna lat 53, średniego wzrostu, blondyn [...]. Jest to dziwny typ. Nie lubi towarzystwa, z którego nic nie ma. Bo jak twierdzi, co z tego jeżeli przyjdzie ktoś do niego i plotkuje bez przerwy. Co on z tego ma? W ogóle jest bardzo zadowolony, jeżeli do niego nikt nie przychodzi. Ale jeżeli go ktoś zaprosi do knajpy na wódeczkę, wtedy nie ma nic przeciwko temu. Gdy jest trochę lub więcej podpity, wtedy ma cudowny humor, co w normalnym stanie jest rzadkością. Mój tato zazdrości mu, dlatego że się niczym nie martwi. [...] Wprawdzie nie jest głupi, a może nawet mądry, ale strasznie zacofany. Twierdzi on, że siedzenie w domu jest największą jego przyjemnością, chociaż sam jeździ niby do służby i zawsze wraca pijany. Wtedy jest w doskonałym humorze. Ludzi charakteryzuje według tego, co z nich ma. Bardzo porządny człowiek jest ten, kto go zaprosi do knajpy. A wmawia sobie i wierzy w siebie okropnie. Co on mówi, to jest święte. Przekonać go nie można za żadną cenę. Żonę traktuje jak służącą i w niczym się z nią nie zgadza. Ale dosyć już co do niego, a nawet za dużo. W stosunku do nas ostatnio jest lepszy jak przedtem. W ogóle jego postępowanie w stosunku do nas jest zależne od sytuacji politycznych i od tego, co mu ktoś powiedział. A zmienia się pod tym względem jak chorągiewka na wietrze. Raz tak, drugi raz siak. Tato się go wprost boi. Serce mi się rozrywa, gdy widzę, jak tato skacze przy nim, jak mu otwiera drzwi i chce we wszystkim pomóc, a on jeśli nie ma humoru, to z niczego nie jest zadowolony. Gdy mu ktoś coś powie, np. że wojna będzie jeszcze długo trwała, wtedy gdy przychodzi do domu, to mówi, że „nim słonko wzejdzie, rosa oczy wyje" i że Bóg wie kto doczeka pokoju. I nigdy nie jest z niczego ani z nikogo zadowolony, chyba z siebie. Najlepiej lubię, jak jest pijany. Wtedy żartuje, śmieje się. Ma tę zaletę, że jest czysty i bardzo dba o swój wygląd zewnętrzny.

2) **Zofia Wańków** – gospodyni: Jest to 40-letnia kobiecina. Strasznie skąpa, zachłanna, a jednocześnie dobra. Nie wiem, jak to pogodzić jedno z drugim: dobroć z wielką skąpością. Jak to się mówi: „nie ma złego, co by na dobre nie wyszło". Właśnie jej zachłanności zawdzięczamy nasz pobyt tutaj. Oprócz tego, że płacimy im 750 zł miesięcznie, tato podpisał im 5 morgów pola. Na te 5 morgów pola, które mają otrzymać po przetrzymaniu nas do końca wojny, ona leci. I na nią też cała rodzina zwala tą odpowiedzialność, jak ona chciała nas, niech trzyma. Bo trzeba ci wiedzieć, kochany pamiętniku, że są afisze, że kto trzyma Żyda, to mu grozi kulka w łeb. I były takie wypadki. Oprócz wszystkiego Wańkowa jest głupia. Ale do swoich sztuczek i wyzyskiwania jest mądra. I też stara się na każdym kroku i na każdej drobnostce nas wyzyskać. Np. kończyła jej się sól i podobno w mieście nie można było dostać. A że wiedziała, że my mamy trochę soli, może 15 dkg (jeszcze to, że wzięliśmy z getta), więc nasze jedzenie przynosiła prawie że nie solone, a na domiar złego za każdym razem pytała się, czy solone. Albo: daliśmy jej do sprzedania

5 ręczników wyszywanych, cudnych, po 35 zł za sztukę. Więc 4 sprzedała, a 5-ty jakoby zapomniała. Przez długi czas ona nic nie mówiła, a my nic nie pytaliśmy co do ręcznika, aż do czasu kiedy poprosiliśmy, aby kupiła mydło. Więc kupiła kawałek (powiedziała, że ważyła i ma 75 dkg) i że kosztuje 35 zł. Mydło było nadzwyczaj podłe i przy dotknięciu rozłaziło się. Dopiero po dwóch dniach powiedziała, że my za ręcznik mamy zapłacone mydłem. I że ręcznik ona wzięła sobie. Podaję 2 przykłady, ale mogłam podać 20. Ale mimo wszystko wolimy ją od wszystkich. Bardzo lubi, jak jej pomagam, ale tego nie okazuje. Wie przecież, że ja jestem stale głodna, więc inna {pomyślałaby, powiedziałaby sobie}, daj za to więcej jeść. Ale skąd. Pamiętam, że na Boże Narodzenie, gdy robiliśmy ciastka, takie z wywaru buraków (melasa), to wtedy siedziałam do 3-ciej godz. w nocy, to mi dała 2 ciastka skosztować. Ale nie jest tylko skąpa w stosunku do nas, ale także w stosunku do swoich dzieci, do męża i w ogóle do każdego. Jest bardzo religijna. Jest w swoim żywiole, jeżeli może mówić o kościołach, religii, księżach, albo o snach. Ale mimo jej wad lubię ją (czasami) i bardzo mi jej żal. Haruje od rana do nocy, a żadnej wdzięczności, ani ze strony męża, ani dzieci, nigdy nie ma. A jak mi często opowiada, bardzo jej brakuje jakiegoś dobrego słowa za tak ciężką pracę. Po prostu jest bezpłatną służącą u swojego męża i ma tylko tyle z tego, że nosi jego nazwisko i że się nazywa „gospodyni". Marnie!

3) **Stanisław Wańków** – najstarszy syn Wańkowa od 1-szej żony (bo teraźniejsza żona już jest 2-ga). Jest to 25-letni chłopak, inteligentny, mądry i bardzo dziwny. Rozmawiając z nim, ma się wrażenie, że się mówi z bardzo porządnym chłopcem. Orientuje się we wszystkich dziedzinach doskonale i aż satysfakcja z nim mówić. Zdawało by się, że jest najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Tak też my myśleliśmy i mieliśmy o nim najlepsze zdanie. Gdy przyszliśmy tutaj, był już w domu od tygodnia. Uciekł z Niemie,c gdzie przed rokiem pojechał dobrowolnie. Jest to człowiek nadzwyczaj lekkomyślny i jak sam twierdzi o sobie, nigdzie nie potrafi długo zagrzać miejsca. Z rodziną żyje stale na stopie wojennej. Kradnie z domu, co się da. [...] Była tu u Wańków skórzana walizka Bernarda. Wszystkie rzeczy z niej wykradł i sprzedał, a gdy przyszedł posłaniec od Bernarda po walizkę i Wańkowa zamartwiała się ze wstydu, on zagroził, że jeszcze walizkę wyrzuci na dwór i powiedział „co się Mama żydowskimi rzeczami przejmuje". Antysemita jest straszny. W stosunku do nas jest dość dobry. [...] Czasami przychodzi do stajni, do nas nie odzywa się słowem, [...] a czasem stoi i rozmawia z nami z godzinę i więcej. Jest b. wielkim antysemitą i czasami dokucza, ale nadzwyczaj delikatnie i politycznie. W ogóle gdyby nie jego złodziejska natura i lekkomyślność, byłby zupełnie do rzeczy. 14 II pojechał z powrotem do Niemiec. Pożegnał się z nami tuż przed odejściem. Stara Wańkowa udawała, że płacze, ale w rzeczywistości każdy, nie wyłączając i nas, był zadowolony, że w końcu pojechał. Wańkowie byli zadowoleni, że pozbyli się domowego złodzieja i darmozjada, a my mieliśmy trochę stracha przed nim. Jak on mógł swoim rodzicom grozić za Polski i na matkę skarżyć przed

naczelnikiem za Sowietów, więc on wszystko potrafi, a szczególnie taki antysemita. No, ale dość o nim.

4) **Wańków Władysław** – 2-gi syn Wańków jest to 20-letni młodzian, nadzwyczaj głupi i wmawiający sobie. Chodził ze mną za Sowietów do II-giej gimnazjalnej. W szkole wiedziałam o nim tyle, że się nazywa Wańków i że jest okropny tuman. A teraz dowiedziałam się, że jest oczkiem w głowie swojej mamusi, która twierdzi, że co Władzio mówi, to jest święte i która wpycha w niego, co ma najlepsze i która rada by mu nieba przychylić, za co od czasu do czasu hrabia Władzio powie jej dobre słowo, a potem w ogóle się nią nie zajmuje. Jak Władzio coś opowiada, to mu się patrzy prosto w usta, jak by mu stamtąd perły leciały. Jest więc Władzio strasznie zarozumiały i bezdennie głupi. Od pierwszej chwili – mam takie wrażenie – jest przeciw temu, abyśmy tu byli. I antysemitą jest także. A ponad wszystko jest b. wielkim tchórzem i bardzo się boi o swoją krostowatą skórę. Gdy przychodzi do stajni, to co 5 minut wybiega na dwór, czy nikogo nie ma. Początkowo odnosił się do nas bardzo dobrze. Często przychodził, rozmawiał, wywnętrzał się przede mną. Ale od pewnego czasu, od czasu kiedy zaczął chodzić wszędzie ze Staszkiem, i kiedy obaj stali się przyjaciółmi, w ogóle do stajni nie przychodzi, z nami nie rozmawia, odnosi się do nas z najwyższą pogardą i chętnie by się nas pozbył. Teraz, gdy Staszek wyjechał, dostrzegłam u niego znowu ledwo dostrzegalną zmianę na lepsze. Może się zmieni i będzie taki jak dawniej? I ja, która z chęcią dałabym mu raz w tę pokrytą pryszczami twarz, muszę być dla niego nadzwyczaj uprzejma, bo jestem przecież w zupełności zależna od niego. Ale nie wiem, dlaczego ja nie potrafię z takim Władkiem rozmawiać z uniżeniem, podczas gdy w duszy jestem wściekła na niego. Tato tak, a ja nie [...].

5) **Wańków Michał** – najmłodsza latorośl Wańków. Jest to o 7 miesięcy starszy ode mnie wyrostek, sięgający mi zaledwie do ramion. Nadawał by się na kupca, a swoim usposobieniem i charakterem podobny jest do żyda. Zachłanny, cygan, wyzyskiwacz, niesłowny. Bracia nazywali go zupełnie trafnie „pluskwa" albo „judasz". Potrafi w oczy doskonale żyć, czy to z braćmi, czy z kim, a poza oczy buntuje i skarży. Jego to obchodzi, co robi Staszek i gdzie chodzi Władek. Przy tym jest dość mądry. Czasami go lubię, a czasami wprost nienawidzę. Początkowo jak mieli mi przynieść moją walizkę z rzeczami od Popowicza, uchwaliliśmy, że on pójdzie z listem, jako że na pewno jego nie zna, i przyniesie walizkę. Zwlekał może 3 tygodnie z dnia na dzień, coraz to inne znajdując wymówki, aż w końcu Władek poszedł z nim i on przyniósł na plecach. W ogóle on jeszcze nie powiedział dwóch słów prawdziwych tak, jak się powinno, tylko naprzód wykręt i kłamstwo, a potem z ciężką bidą prawdę, tak że się w końcu nie wie, co prawda, a co kłamstwo. Do tego doszło, że mu w ogóle nie wierzę i co on mówi, uważam za kłamstwo i mówię mu to w oczy, za co się często obraża. Czasami sam przyznaje, że ma taką naturę i przeprasza. Potrafi on, gdyśmy go raz posłali z ważnym listem do Popowicza i niecierpliwie czekali na odpowiedź, trzymać ten list u siebie i najnaturalniej w świecie usprawiedliwiać się,

że nie mógł, nie miał czasu, a po pół godzinie, gdy już jesteśmy zmartwieni i tato popada od razu w zły humor, wyciągnąć jak gdyby nigdy nic list i dać go. I każdego potrafi z zimną krwią tak okłamać, że kto go nie zna, ten myśli, że to święta prawda. Władek go po prostu nienawidzi, a Staszek wtedy się z nim ciaćka i dobrze żyje, jak czuje u niego papierosy albo jak coś od niego potrzebuje. Ojciec go lubi, bo go podkupuje od czasu do czasu papierosami i przytakuje mu, gdy ten narzeka na synów. W stosunku do nas, oprócz jego cygańskiej natury, odnosi się dobrze i uprzejmie, ale tylko w oczy. W ogóle przewrotny jest okropnie. Od czasu jak Staszek pojechał, Władek lepiej z nim żyje i nawet obaj chodzą do miasta na tajemnicze wyprawy, które podczas przypływu szczerości odkrywa przede mną. Ale tego, że jest mądry, nie można mu zabrać. Pamiętam, że jak przyszliśmy wtedy z tatem pierwszy raz i gdy ja weszłam się zapytać, czy możemy zanocować, w ogóle czy nas przyjmą, on jeden zapytał się od razu, na jak długo, a to przecież było najważniejsze. Wańkowa powiedziała nam, raz jakeśmy tak serdecznie rozmawiali, że my nie mamy pojęcia, co ona przez nas cierpi, że mąż i synowie ciągle jej wymówki robią, że przez nią my tu jesteśmy, że ona ich zabija, i że ich mogła niemowlętami zabić, a nie teraz i nawet wyraziła się, że gdyby nie ona, to byśmy tu 24 godzin nie byli. Wierzę jej, bo wiem, że jest to prawdą, bo ona jest jedyną osobą, która leci na majątek i obstaje za nami.

Opisałam mniej więcej wszystkich naszych gospodarzy, abym kiedyś, jak dożyję, wiedziała, u jakich ludzi byliśmy i od jakich zależni. A teraz chcę już pisać regularnie, o ile możności co dzień. Właśnie dzisiaj chcę napisać, jaka sytuacja polityczna jest teraz i jakie mamy nadzieje.

21 II 1943 rok. Niedziela

Różnie ludzie mówili. Różne były zdania. Pesymiści mówili, że to będzie jeszcze długo trwało, że wojna może potrwać jeszcze do 1945 roku, a optymiści że już wnet się skończy i że na pewno w 1943 roku. A w rzeczywistości wie jeden Pan Bóg, jak to długo będzie trwało. Do 20 stycznia 1943 roku nic nowego nie było. W komunikatach pisali tylko, że walki są: *hart*, *erbütert*[11] i tym podobne wyrażenia i mój tato, nawiasem mówiąc, dobry politykant, twierdził, że tam się coś dzieje. Oprócz tego ludzie mówili, że koło Stalingradu okrążyli coś 3 dywizje niemieckie. Dopiero 21 stycznia 1943 r. Napisali, że Stalingrad padł i że go zajęli bolszewicy. I opisywali, jak bohatersko walczyli niemcy i jak tam było okropnie. I pisali, że Stalingrad jest drugie Verdun. Po pewnym czasie zdaje mi się, że już w lutym Miśku powiedział, że słyszał, że Charków wzięty. Nie chcieliśmy wierzyć Miśkowi jak zwykle. Aż 19 lutego 1943 r. w gazecie niemieckiej „Krakauer Zeitung", którą Miśko cudem dostał, bo ani Polakom, ani Ukraińcom nie wolno sprzedawać niemieckiej gazety, przeczytaliśmy, że Charków *„planmäßig geraümt"*[12]. W tym samym czasie ludzie mówią, że bolszewicy już są koło Kijowa, a nawet dzisiaj że na Wołyniu.

[11] *Hart*, *erbütert* (właśc. *hart*, *erbittert*) – ciężkie, zaciekłe.

[12] *Planmäßig geraümt* – opuszczony zgodnie z planem.

Nie wiemy, ile w tym prawdy, ale przecież w każdej plotce jest trochę prawdy. Mówią jeszcze, według wiadomości starego Wańki, że podobno bolszewicy pójdą tylko do starej granicy Rosyjsko – Polskiej, a potem przez Turcję przyjdzie polska armia. [...] Ale najgorsze jest to, że ludzie już myślą nad tym, gdzie się chować w razie jak tu przy Sanie będzie front. A tymczasem chodzą słuchy, że mają ewakuować ludzi stąd. To by było dla nas katastrofalne. Bo co byśmy robili, gdyby Broń Boże Wańka zabrali do Niemiec. Broń nas Boże od wszystkiego złego! Jeszcze coś! Otóż dzisiaj czytaliśmy w polskiej gazecie mowę niemieckiego ministra propagandy dr. Goebbelsa, który nawołuje ludzi do wspólnej walki przeciwko bolszewikom i jak zwykle mowa naszpikowana jest złorzeczeniami przeciwko Żydom. I wtedy tato zadał pytanie: co będzie, jeżeli Niemcy, widząc swój koniec, jak zwykle zemszczą się na Żydach, których mają pod swą ręką i wybiją, powystrzelają ich. A przecież nasz ukochany Romek jest, jako jeniec wprawdzie, ale jeniec – Żyd. Boże! Zlituj się nad nami i pomóż nam. Daj, abyśmy wszyscy czworo przetrwali w zdrowiu i szczęściu tą wojnę i szczęśliwie doczekali się pokoju! Bo cóż innego nam pozostaje, jak błagać Boga, aby nas zachował przy życiu.

W każdym razie, według słów ludzi i mego tata, jesteśmy w przededniu nadzwyczaj ważnych wydarzeń, ale dobrze byłoby patrzeć i obserwować je z daleka, a nie samemu przeżywać to na własnej skórze. Ale ja wierzę w przeznaczenie, i co mi jest przeznaczone, to będzie. Ale faktem jest, że kto z Żydów przeżyje tą wojnę, to naprawdę będzie cud. Jeden Bóg wie, komu jest przeznaczone. Czasem człowiek zapomina się, gdzie jest i w jakiej sytuacji się znajduje i roi plany na przyszłość. Dopiero po uświadomieniu sobie, gdzie się człowiek znajduje, widzi się, jakie to głupie, bo w gruncie rzeczy człowiek nie wie, czy doczeka następnej godziny. Bo bądź co bądź jesteśmy jak na wodzie.

Dzisiaj przy niedzieli zwykle u Wańków są pierogi [nieczytelne] i w ogóle lepsze jedzenie. A dzisiaj jak na złość zaraz rano przy śniadaniu: Wańków fasował przy pracy chleb komiśniak pół na pół ze siekaną słomą. Jeszcze wczoraj Miśku wziął sobie i nie chciał jeść, więc wziął sobie z innego, zwykłego rejonowego, który jest o wiele lepszy. I zaraz rano tato powiedział, że na pewno Wańkowa da nam ten chleb na śniadanie. Nie chciałam nic mówić i nie wierzyłam, aby to zrobiła. Jednakowoż na śniadanie Wańkowa przynosi 2 kromki, jak zwykle, i właśnie tego chleba. Bezczelna! Nie ma z nim co robić, to nam wpycha, wiedząc o tym, że jesteśmy bezbronni i wszystko przyjmujemy bez szemrania. I jeszcze na moje uwagi, że w chlebie jest słoma, powiedziała, żeby dużo takiego było. O tym ja wiem i tego ona nie potrzebuje mi mówić. A dlaczego ona tego chleba nie daje kochanemu Władziowi, tylko nam wpycha za nasze pieniądze? Ale to nic. Romek i tego nie je. Dzięki Bogu za to. A na obiad dała kaszę jaglaną z mlekiem, jakkolwiek wie, że tato tego nie lubi. Przyniosła ze słowami: musi się pan przyzwyczaić, to mi taniej wynosi jak z fasolą. A my ani mru – mru, tylko porozumieli się spojrzeniem i już. Niech będzie i tak. Byle przetrzymać. Byle dożyć lepszego. A na drugie danie, pierogi z kartofli i kapusty, pośniejsze i mniejsze niż zwykle. Ale to nic! Za siebie będziemy mogli przebierać.

22 II 1943 rok. Poniedziałek

Wczoraj wieczorem było bardzo ciemno. Skorzystałam z tego i byłam u Popowicza. Myśleliśmy, że ciemno jest dlatego, że to już jest druga połowa miesiąca. Tymczasem tato wyszedł na dwór popatrzeć się, czy dostatecznie ciemno i czy już można iść i wrócił z okrzykiem, że jest zaćmienie księżyca. Gazety pisały o tym, ale na sobotę, a to tymczasem wczoraj było. Wylecieliśmy zaraz na dwór i oczom naszym przedstawił się cudny widok. Na dworze było bardzo ciemno, chociaż niebo usiane było gwiazdami. Nagle widzę hen... nad widnokręgiem ognista czerwona kula, na której jest ciemna plama. Ach, to tak wygląda zaćmienie! Ale nie miałam czasu, a tym bardziej cierpliwości, oglądać ten widok i podziwiać go, skoro wiedziałam, że czeka mnie niebezpieczna droga do Popowicza. Zaraz ubrałam sobie Wańkowej płaszcz i moją czerwoną chustkę na głowę i po wielokrotnych pocałunkach z moim ukochanym tatuńciem poszłam.

Gdy wychodziliśmy na ulicę Słowackiego, spotkaliśmy parę, która szła środkiem jezdni. Wańkowa szepnęła mi, że to jest policjant. I wtem on puścił rękę swojej partnerki i jak nam się zdawało, podążył za nami na chodnik. Wańkowa zaraz puściła moją rękę (szłyśmy pod pachę) i poszła naprzód. Struchlałam. Zrozumiałam, że gdybym była w biedzie, ona opuściłaby mię. Tymczasem po kilkudziesięciu metrach oglądnęłam się i, ku mej wielkiej radości, nikogo na ulicy nie było. Chwała Bogu. Resztę drogi przeszłyśmy spokojnie. Wraz ze mną do Popowicza weszła jakaś nieznajoma pani, tak że nie bałam się wejść razem z nią. Popowicza zastałam w domu. Ucieszył się mną strasznie. Dał mi pieniądze, które uzyskał ze sprzedaży naszych rzeczy. List obiecał bezzwłocznie doręczyć Chuchrajowi. Co do polityki, to mi powiedział, że mówią, że przy końcu marca mają być tu bolszewicy. Kto wie, jak to będzie? Poczciwy Popowicz. Zdaje mi się, że to jest najuczciwszy człowiek pod słońcem. Tato mówi, że gdybyśmy doczekali pokoju, to by go tato wziął jako dozorcę do swego domu. Wart jest wszystkiego. W ogóle dużo ludzi jest mu wdzięcznych za przysługi, jakie wyświadczał.

Powrotną drogę przebyliśmy zupełnie spokojnie. Już wysoko na Słowackiego odetchnęłyśmy. Już bliżej jak dalej, no i tu w każdym razie bezpieczniej. Gdy spojrzałam w dół, oczom moim przedstawił się cudny widok. Księżyc świecił zupełnie normalnie. Cudny. Jak złocista kula zawieszona w przestrzeni. Ziemia skąpana w jego promieniach wygląda jak na obrazku. Widnokrąg taki daleki, szary, jak we mgle. Hen daleko lasy, na około góry [...]. Patrzę na księżyc, zupełnie ludzka twarz. Oczy, usta, nos. Zdaje się nawet uśmiechać, patrzy z wysokości [...] na te wszystkie ohydne rzeczy, które się dzieją na ziemi. Nie obchodzi go wojna, Niemcy, Żydzi [...]. Ach jakże chętnie poleciałabym na księżyc, aby też tak z góry patrzeć na te wszystkie okropności. Ale cóż z tego? Nieosiągalne i koniec. Dzielę się moimi spostrzeżeniami z Wańkową, ale ona mi w odpowiedzi opowiada, jak raz gonił za nią jakiś sierżant i zaczepiał ją. Nie ma z kim mówić.

Gdy przyszliśmy do domu, tato był szczęśliwy, że to już jest poza mną. Kochany, wierny jak nikt na świecie papuniu. Tymczasem Wańkowa przygotowywała kolację. Tradycyjnie zawsze w niedzielę na kolację Wańkowa daje tatowi pierogi,

które zostawia z obiadu, a nam fasolę gotowaną ze jabłkami-suszkami, czego tato nie lubi. Mnie dała do miseczki tyle tych jabłek z fasolą, że po zjedzeniu byłam kompletnie głodna. Tatowi dała 8 pierogów i naturalnie też był bardzo głodny. I tak poszliśmy spać, dziękując Bogu za to, bo Romek i tego nie ma.

Dzisiaj zaraz rano tato zbudził mnie, abym wstawała, że będziemy wyrzucać gnój spod świnki. Było tam dużo gnoju, może fura, którą na spółkę z tatem wyrzuciliśmy przed stajnię, a stamtąd Wańkowa taczkami na gumno. Wyrzuciliśmy, pozamiataliśmy wszystko porządnie. Wprawdzie dla nas, którzy nic nie robimy, to nic nie znaczy, ale przy tym jedzeniu, no i dla Wańkowej jest to znaczna pomoc. A potem dałam jej taki kołnierzyk ręcznie robiony, jedwabny, cudny. Naprawdę, aż szkoda mi go było jej dać. Ale te wszystkie szpargałki: kołnierzyki, koronki, nici, były u niej, a wczoraj zaniosłam je do Popowicza sprzedać, więc prosiła, abym jej zostawiła jeden. Więc dzisiaj rano dałam jej. Pytała się, co kosztuje, na co ja odparłam, że nic, bo przecież nie wypada brać u niej forsy za takie nic. Jak dałam Wańkowej mój szalik, albo wełn[iane] skarpetki, to też nic nie wzięłam. Za to – mówię do tata – da nam lepsze śniadanie. Na to tato – na pewno ten wczorajszy chleb ze słomą. E, chyba taką świnią straszną nie jest. Jednak okazało się, że tato jak zwykle ma rację. Nagle Wańkowa wnosi „śniadanie". Składa się ono jak zwykle z 2 kromek chleba, ale o wiele mniejszych. Jedna kromka jest z takiego zwykłego chleba, rejonowego, a druga – koniec t.j. taka przylipka z tamtego chleba ze słomą. Zatkało mię po prostu. Ale ani słówka nie pisnęłam, tylko po jej odejściu tato zaczął mi opowiadać, jak to na świecie nie ma wdzięczności i dawać na to przykłady i fakty, które sam przechodził. A jednak ja wolę być tą stroną dającą i dobrze robiącą, aniżeli tą niewdzięczną. W ogóle zauważyliśmy że Wańkowa od kilku dni daje nam gorzej jeść, i to coraz gorzej. Nie wiemy, co o tym myśleć. Co to może być? Ale odpędzam od siebie i od tata wszystkie zmartwienia, bo jak sobie pomyślimy, w jakiej sytuacji się znajdujemy i zaczniemy się martwić, to do wszystkich „przyjemności" można jeszcze oszaleć.

23 II 1943 rok. Wtorek

Dzisiaj rano strasznie byliśmy głodni. Do Wańków przyjechał jakiś znajomy chłop, więc musieliśmy bardzo uważać, bo był strasznie ciekawski i nawet próbował drzwi i zaglądał do okna, ale nic nie widział, a co do drzwi, to Wańkowa mu wytłumaczyła, że mają zamek z wewnątrz dla ochrony przed złodziejami.

Tymczasem rano Wańkowa poszła kupić dla nas chleb, bo tak już jest zaprowadzone, że my kupujemy co tygodnia jeden chleb za nasze pieniądze (dotychczas kosztuje 25 zł), no i mamy go na 4–5 dni na śniadanie, a resztę dni śniadanie daje Wańkowa. Zawsze chleb kupuje się w poniedziałek, ale wczoraj piekarnia była zamknięta, więc Wańków nie mógł kupić. Tymczasem Wańkowa przyniosła śniadanie może o 11 godz. i to taki mały kawałek, jaki zwykle przynosi dla jednej osoby. Powiedziała, że nie mogła dostać chleba i przynieść wcześniej też nie mogła, bo ten chłop siedział przy oknie. Cóż to dla nas, tak bardzo głodnych, taki kawałek chleba. Tak jak szpilka w morzu. Ale trudno. Za to obiad przyniosła trochę wcześniej.

Na obiad była kapusta z kartoflami. Gdy zapytaliśmy, co się stało, że tak wcześnie przyniosła obiad, odpowiedziała, że my na pewno jesteśmy głodni i że jeden chleb na tydzień to stanowczo za mało. Tak jak my byśmy tego nie wiedzieli. Ale skąd wziąć pieniądze na kupienie drugiego chleba tygodniowo. O tym ona na pewno nie myśli, ani się tym nie martwi. A dla niej, to im więcej my chleba tygodniowo kupimy, tym ona mniej śniadań będzie musiała dawać. Źle mi się zrobiło, jak to powiedziała. Wiem przecież o tym, że to by było dla nas też o wiele lepiej, ale przecież tato ma akuratnie tyle pieniędzy, aby dopłacić do 18 maja i do tego czasu kupować 1 chleb tygodniowo. A Chuchraj dotychczas posłał dopiero 18 kg pszenicy. Cóż to jest? I kto wie, jak długo wojna będzie jeszcze trwała? Ale przecież tego wszystkiego nie można Wańkowej opowiadać, więc tato nic się nie odezwał i zaraz zmienił temat rozmowy. Zobaczymy, co będzie dalej. Na razie dotychczas zauważyliśmy, że Wańkowa coraz więcej jest skąpa i coraz mniej daje jedzenia. Domyśliliśmy się z tatem, co to jest. Otóż gazeta niemiecka ciągle pisze o tym, aby się zjednoczyć przeciwko bolszewizmowi, który zagarnie całą Europę. Więc taka Wańkowa nie namyślając się nad tym, że to może być propaganda, myśli sobie, że 5 morgów pola diabli wzięli, i tak nic nie będziemy mogli dać, więc po co ma nam dać dużo jedzenia. Drżymy, aby jeszcze nie podwyższyła miesięcznie, bo wszystko drożeje na łeb na szyję, bo ludzie na gwałt aprowizują się. Mają nauczkę, jak było w czasie tamtych wojen i przejść. Ale co my możemy się aprowizować, jesteśmy zależni od humoru, kaprysu Wańkowej czy innych domowników. Trudno, co będzie, to będzie. Ja już sobie raz powiedziałam, że co jest raz przeznaczone, to się nie zmieni. Niech się dzieje wola Boska.

24 II 1943 rok. Środa

Pogoda na dworze wariuje. Jak na luty było wczoraj cudnie słonecznie i ciepło. Dzisiaj trochę pozimniało, a nawet gdy zbudziliśmy się, ziemia i drzewa były pokryte szronem. Piszę „nawet", bo chociaż jest dopiero luty, ale pogoda jak na wiosnę. W ogóle przez całą zimę było takich prawdziwych {mrozów} (po 25°–30°) może 1 tydzień. Chwała Bogu: Gdyby dłużej, to byśmy byli nie wytrzymali.

Dzisiaj zaraz z rana miałam strasznie przykrą przygodę. Chciałam tatowi załatać bluzkę na łokciach, bo się coraz więcej drze. [...] Więc nie namyślając się długo, poszłam do walizki i wyjęłam spodnie, z których miał być materiał do załatania, a tata postawiłam na straży przy drzwiach komórki, aby świnia nie wyleciała. Nie znalazłszy w kieszeniach tego materiału, dałam tatowi poszukać, może on znajdzie. Tymczasem gdy tato szukał, świnia wyleciała. Tato za nią, a ona buch pod krowy i absolutnie nie chce wejść do komórki. A tu krowy przestraszone ciągle kopią ją, a ona jak prawdziwa świnia nie chce się odstąpić i ciągle się pcha pod same nogi. Rozpacz mię ogarnęła. Przecież mogą ją jednym celnym uderzeniem w głowę zabić, a taka świnia warta dzisiaj może 1000 zł. Tato widocznie to samo pomyślał, bo zaczął strasznie krzyczeć na mnie i rozgniewał się porządnie, tak po swojemu. Próbuję patykiem zagnać ją, ale skąd, jeszcze gorzej pcha się krowom pod nogi i pogarsza sytuację. [...] Wzięłam jedzenie świni z komórki i wołam ją, ponosząc do samego

pyska. Ale skąd. Ani rusz. Tak jakby się uwzięła. [...] Dopiero po jakimś czasie udało się tatowi ją zagnać do kuczki. Odetchnęłam. Ponieważ przed tym zaczęłam sobie manicurować palce, teraz skończyłam. Lubię zawsze mieć wyciętą skórkę. Tymczasem tato w dalszym ciągu narzeka na mnie, bo w czasie tej gonitwy gdzieś spadł gwóźdź, którym się zamyka drzwi od kuczki i trzeba było zamknąć drzewem, które mogła świnia wypchnąć albo złamać. Ale trzymało się. A tato ciągle narzeka i razi go nawet to, że sobie wycinam skórkę w paznokciach. Po pewnym czasie, gdy tak siedziałam smutna z głową opartą na rękach, nagle uczułam tata rękę na ramieniu. Obrócił mnie i zaczął całować mnie ze łzami w oczach. I mnie też zaczęły łzy ciec. Kochany, najdroższy, jedyny papciu! Na pewno rozmyślał i doszedł do wniosku, że przecież ja chciałam tylko dla jego dobra zaszyć tę bluzkę. [...]

Dzisiaj wieczorem mieliśmy przygodę drugą. Gdy siedzieliśmy wieczorem w najlepsze sobie u Wańków, jak zwykle, nagle ktoś zapukał. Była może godzina pół do dziesiątej. Zamarliśmy ze strachu. Każdy pomyślał to samo: Kto może tak późno pukać. Zaraz z tatem poszliśmy do drugiej izby, bośmy się tak umówili, że jakby ktoś pukał i zastał nas tam, to trzeba przejść do drugiego pokoju, który się znajduje po 2-giej stronie domu, a w razie jak ten ktoś wejdzie do mieszkania, to my fach – na dwór i do stajni. Tymczasem Wańkowa zamknęła drzwi za nami i równocześnie pytała się kto to? Tymczasem ja się już trzęsłam i aż na odległość słyszałam, jak tatowi bije serce. Wańków i Wańkowa pytają się po kilka razy na głos, kto tam i nikt nie odpowiada. Zachodzimy po rozum do głowy i natężamy wszystkie myśli, ale nic nie możemy wymyślić, bo po 2-giej stronie drzwi milczenie i nikt się nie odzywa. Wańków świeci latarką i otwiera drzwi, a tu... siedzi sobie w najlepsze Pikuś, pies Wańków, no i na pewno skrobiąc się nogą w głowę uderzał do drzwi. Psiakość. Tak nastraszyć. Dla pewności Wańkowie obeszli cały dom, ale nikogo nie było. Gdy szliśmy już spać, jeszcze się trzęsłam. Jak wszystko Chwała Bogu przechodzi gładko, to się człowiek zapomina, ale tak się zastanowić, to dopiero widzi się, że życie nasze wisi nie na włosku, ale na pajęczynie. Ale nie chcę się zastanawiać ani martwić, bo to i tak nic nie pomoże, a mnie może tylko zaszkodzić.

25 II 1943 rok. Czwartek

Dzisiaj gwałtownie pozimniało. [...] Ale nie trzeba zapominać, że jest dopiero luty. [...] Gazety nie mamy już od niedzieli. Nie ma Staszka, więc nie ma kto kupić. Tymczasem mówi Miśko i Władek, że się Niemieckie firmy prywatne pakują i już wyjeżdżają. Ale co z tego, jak podobno jeszcze nie są w Kijowie. Strasznie pomału to idzie. Ale cóż, ze Stalingradu do Kijowa jest tak samo, a może i więcej, jak z Kijowa do nas. Więc jak tamtą przestrzeń przebyli w przeciągu dwóch miesięcy, to może i tu tak będzie. Dałby Bóg, aby jak najprędzej.

Tymczasem mamy nowe zmartwienie. Otóż mają chodzić dwie komisje. Jedna 1 i 2 marca ma chodzić spisywać ludność. Ale po co, na co, tego wiedzieć nie wolno i jak jest ogłoszone, to się powie po spisie. Tymczasem mają chodzić nie tylko do mieszkania, ale ci komisarze, którzy będą spisywali, mają prawo szukać po miesz-

kaniach i po różnych ubikacjach[13] należących do danego mieszkania. To jest gorzej. Mogą szukać. Ale nie wiemy dokładnie, czy Wańków podlega temu spisowi, czy nie. Bo jest wymienione, kto nie podlega i jak my zrozumieliśmy, to Wańków nie należy do tych, których mają spisywać. Ale nie chcemy im pokazać, że się boimy, więc nie pytamy się o to. Może nie należy, a choćby i nawet, to mamy przecież schowek w sianie, ale kto wie, gdzie jest dobrze i co jest bezpieczne. I znowu to samo. Jak Bóg da.

I jeszcze ma chodzić druga komisja, niby sanitarna, a w rzeczywistości zabierać pierzyny, bieliznę i w ogóle co znajdą. Skończyli z Żydami, zabierają się do rabowania katolików. Mój tato mówi, że widocznie nie zależy im na tutejszych ludziach, bo gdyby tak, to by nie zabierali. Może są na odchodnym. Dałby Bóg, i to jak najprędzej. Opowiadał Wańków, że po wsiach Ukrainy ci najwięksi działacze i nacjonaliści są już spakowani do ucieczki, bo podobno Rosjanie strasznie się na nich mszczą. Dobrze im tak. Mało oni się mścili. Pan Bóg jest sprawiedliwy.

Chcemy posłać Wańka z listem do Bajorskiego, aby się dowiedział, czy Romek jest w Pełkinie[14]. Przedtem jak pisaliśmy do niego, aby mu pomagał, to odpisał bardzo uprzejmie, że wprawdzie on sam nie ma, ale o ile możności będzie się dzielił i posyłał. No i przecież stary znajomy i bardzo porządny, więc możemy mu ufać. Strasznie chcieliśmy się dowiedzieć, co z Romkiem. To nam nie daje spokoju. Wszystkie nasze zmartwienia, nadzieje, radości, zaczynają się i kończą na nim. Było by nam lżej, gdybyśmy chociaż wiedzieli konkretnie, że żyje. Wprawdzie mieliśmy wiadomość gdzieś w październiku czy listopadzie, ale kto wie, czy to prawda i kto wie, co tam jest dotychczas. Wprawdzie wyratować go i tak nie możemy, bo po pierwsze że przecież nie możemy się stąd ruszyć, po drugie że nie mamy pieniędzy, a po trzecie, to się przecież już próbowało i nic z tego. Ale ja cichutko marzę w sercu i nawet nie śmiem się tym podzielić z tatem, że może teraz, gdy jest taki ruch i Niemcy się tak cofają, może jest rozprzężenie i może Bajorski znajdzie taką drogę, aby za tanie pieniądze można go było wydostać, a Chuchraj by nam dał, bo i tak jest nam winien, a resztę może by pożyczył. Jest to taka mglista i słaba nadzieja, że nic o tym tatowi nie mówię i tylko błagam Pana Boga, aby to zrobił, bo on przecież wszystko potrafi. A jak ten łotr tak robi z Żydami w getcie, to co robi z jeńcami – Żydami. Nie mogę o tym myśleć, bo mi się serce rozrywa na myśl, że mego kochanego braciszka mogło coś podobnego spotkać. I za co? Przecież takiego dobrego i ofiarnego serca to szukać. Ach Boże zlituj się i pomóż!

---

[13] Ubikacjami nazywano wszelkie pomieszczenia pomocnicze w domach i mieszkaniach.

[14] Właśc. w Pełkiniach, dokładniej w Wólce Pełkińskiej – obóz jeniecki k. Jarosławia. Początkowo trzymano tam, i zagłodzono na śmierć, tysiące jeńców sowieckich. Potem były tam przynajmniej dwa obozy dla Żydów, którzy w części podzielili los jeńców. Mogli się tam znaleźć Żydzi internowani przez Niemców na początku wojny z Sowietami. Jeden z przemyskich ocalałych twierdzi, że Romka, brata autorki, widziano w kolumnie jeńców gnanych przez Przemyśl do obozu jenieckiego w pobliskich Pikulicach. Nie jest wykluczone, że Romek był w grupie Żydów internowanych przez Niemców i dołączonych do grupy jeńców.

Wieczorem gdy poszliśmy do Wańków, jak zwykle, uderzył nas zaraz niemiły nastrój. Miśku leżał na łóżku i nie spał, ale gdy my weszliśmy, prędko zamknął oczy i udawał, że śpi. A Stary leżał już w łóżku w pokoju. Jak jest w dobrym humorze, to jak mamy tam przyjść, kładzie się na łóżku w kuchni i długo rozmawia z tatem. A Miśku? Och Boże, jak ja tego chłopca czasami nienawidzę! Czasami można wytrzymać, a czasami jest taką okropną pluskwą, że by mi o wiele lżej było, gdybym mu mogła chociażby 4 razy dać po twarzy. To jest taki wstrętny judasz i buntator, że coś okropnego. A więc tego wieczora jedna Wańkowa „usiłuje" być dla nas uprzejma. I być zależnym od takich ludzi jak Miśku. Ale to nic. Byle przetrwać.

26 II 1943 rok. Piątek

W nocy było dość zimno, tak że spaliśmy w pończochach, które jak jest ciepło, rozbieramy. Tej nocy nie mogłam spać. [...] I jak to zwykle bywa w takich razach, marzyłam. To jest niby taki sen na jawie. Gdy zamknę oczy, przesuwa mi się szereg obrazów przed oczyma jak w kinie i to nie mniej fantastycznie. Jak w kinie. A więc zdawało mi się, że już jest po wojnie i że są moje urodziny. A więc urządzam piknik. Zapraszam 12 osób i jest Raca i Linka, i Romek (daj Boże, żeby tak było), i Julek Berger, i Fredek Steinhard, i Poldek Kunke, i inni. Zajmujemy całe pierwsze piętro w naszej kamienicy. Pokoje są cudnie urządzone. W salonie stół nakryty. Różne torty i inne wspaniałości. Wszystko eleganckie, wesołe. Po mojej stronie siedzi Julek B. i rozmawiamy ze sobą. Każdy twierdzi, że Julek się we mnie buja. (Nie wiem co to jest, ale jak myślę o przeszłości i o chłopcach, to zawsze też i o Julku B.). On o mnie na pewno tak często nie myśli, jak ja o nim. Możliwe, że dlatego, że jest nieosiągalny. I coś się w mojej głupiej i zarozumiałej duszy pyta, dlaczego Maryśka Friedman tak, a ja nie. Ale to nie jest pytanie. Tak samo można się zapytać, dlaczego Fredek S. był obojętny do Feli Schattner, chociaż ona się w nim bujała tak okropnie, a bujał się we mnie. Nigdy tak nie jest, jak się chce. Możliwe, że gdybym dopięła tego, żeby się we mnie zabujał, stałby się dla mnie obojętny. Tylko zwykle tak bywa, że co nie można jeść, to najwięcej smakuje. Ale o tym dosyć. Otrząsam się z tych marzeń i przypominam sobie o rzeczywistości. Och. Jakże jest straszna i ponura.

Rano po pojeniu krów Wańkowa stanęła w drzwiach i rozmawiała z nami. A że było ładnie na dworze, słonko świeciło, otworzyła drzwi stajni na oścież i stojąc na progu gadała. Nagle widzę, że ni stąd ni zowąd Wańkowa w połowie zdania urywa i wychodzi, przymykając drzwi. Tato stał vis-a-vis drzwi, a ja leżałam na naszym „łóżku". Wychylam się żeby zobaczyć co się stało, bo widzę że tato strasznie zbladł, i o zgrozo!... koło drzwi stoi rozmawiając z Wańkową jakiś chłop. Twarzy zobaczyć nie mogłam. Nagle Wańkowa, która dotychczas trzymała uchylone drzwi, bo nie wypadało zamknąć, rzuca przez ramię *„Підстели під корову"*[15] i zamykając drzwi, odchodzi z tym chłopem. Po chwili przychodzi blada i mówi, że powiedziała

[15] „Podściel krowie" (*Pidsteli pid korowu)*.

do tego chłopa na tata, że jest z Dynowa, przyjechał tak samo po obręcze jak i on. Przyznaje, że w tym wypadku była jej wina. A wiec my i oni mamy szczęście, że to był nieznajomy. A co by tak było, gdyby to był znajomy. Brr... Nie chcę sobie nawet wyobrazić. Jednym słowem śmierć. A ja bym strasznie nie chciała jeszcze umierać. Tak bym chciała przeżyć tą wojnę z całą rodziną i żyć, i używać. Ale Bóg wie, co mi jest przeznaczone.

W międzyczasie tato usiłuje przekonać Wańkową, że jest ostrożniejszy od niej. Nie udaje mu się to, bo Wańkowa mu zarzuca, że bardzo często rozmawiamy głośno. Prawdą jest, że jest to w zupełności moja wina. Mam tą diabelską naturę, że mimo najlepszych chęci nie mogę cicho mówić. Gdy mi tato przypomni, natychmiast zapominam. I mimo że zdaję sobie sprawę, jakie konsekwencje mogą być następstwem tego, nie mogę się przyzwyczaić. A że mój tato jest okropny nerwus i przy każdym przypomnieniu się denerwuje [...]. I na domiar wszystkiego Wańkowa już się rozgadała i dalejże opowiadać, jak to jej Władzio się boi i jak mówi że to było zupełnie niepotrzebne, by się tak narażać i nas trzymać. I że na majątek to ona nie leci, tylko na życie. Święta prawda.

Wiedziałam, że z chwilą gdy ona odejdzie, wszystko skrupi się na mnie. I rzeczywiście! Ledwo się za nią drzwi zamknęły, a wtedy tato do mnie. Trochę miał rację, ale jak zwykle mój tato, gdy jest zdenerwowany, wypowiada wszystko, co go razi, a czego tak by nie wypowiedział. I to właśnie mnie najwięcej boli, że tak nic nie mówi, a w złości wypomina. [...] I właśnie teraz w złości, że głównie zależy mu na tym, abym była posłuszna, bo jak nie, to mi da kopniaka aż się rozlecę i wygoni precz. I widzi już, że się nie będziemy ze sobą zgadzać, to nawet jak już będzie spokój, a jak go nie będę słuchać, to mnie wygoni het i mnie nie zechce znać. I że sobie dużo wmawiam, bo jakaś tam wariatka (matka Ch ... [nieczytelne]) przychodzi się do mnie radzić. Że będę sobie mogła do nich pójść i z nim i z nią być. [...] I to wszystko przez te nerwy. Ale ja zapominam, że Tato jest nerwowy i może potem żałuje tego, co w gniewie powiedział, ale muszę walczyć całymi siłami, aby nie odpowiedzieć, bo wtedy by była istna burza. Ale dałam sobie słowo honoru, że nie będę tata nigdy pierwsza całowała i w miarę możliwości unikała zwierzeń. Postaram się tego dotrzymać.

3 III 1943 rok. Środa

Piszę dopiero dzisiaj. Tak się złożyło, że nie mogłam wcześniej. A tak dużo zebrało się przez ten czas. I taki chaos mam w głowie, że nie [wiem], od czego najpierw zacząć. I do tego wszystkiego bardzo mi źle pisać, bo łóżko nasze jest „zburzone", to znaczy że słoma jest poprzerzucana tak, aby nie poznać było, że tu ktoś śpi. Więc postawiłam na węglach stołek, ten na którym Wańkowa doi, i na nim piszę, ale strasznie niewygodnie, bo się chwieje i jest wąski. Dopiero teraz rozumiem te obrazki, na których przedstawia się dzieci nędzarzy, które z braku miejsca czy stołu piszą wypracowania szkolne na stołku, klęcząc na podłodze. Przedtem nie mogłam zrozumieć, jak tak można pisać, a teraz już rozumiem. [...] Tak, wojna wszystkiego uczy. Jest najlepszą szkołą. Ale do rzeczy. Trzeba napisać wszystko

od 26 II. Po porządku, każdy dzień z osobna. Ale będę starała się o ile możności skracać. A więc zaczynamy:

Więc w sobotę 27 II nie mogłam pisać, bo Władek zabrał mi atrament. Nic nowego, godnego uwagi nie było, chyba to, że strasznie baliśmy się tego spisu 1 i 2 marca. W gazecie była mowa Hitlera z okazji 25-lecia ustanowienia partii faszyst[owskiej]. Jak zwykle jego mowa była naszpikowana narzekaniem i groźbami na Żydów. Bardzo dużo frazesów i zdań było takich, jakie zawsze powtarza w każdej mowie. I także mówił, że sam [nie] znajduje się na wschodzie i że nie może przy nich osobiście być, ale „*meine gedanken sind bei euch*", jak się wyraził. Także mówił co do tego spisu [i] też wspomniał, że „*Ziel muß sein strengs in* [...] *Geheim*"[16], a potem pisali w gazecie, że ten spis jest po to, bo Polska ostatni sporządziła w 1931 r. i nie ma dokładnych statystycznych danych co do liczby ludności. I nadmieniono, że ten spis ma także polityczne cele. I właśnie strasznie się boimy, aby dokładnie nie szukali. Ale nic innego nie możemy zrobić, jak siedzieć przez te 2 dni w sianie w naszej kryjówce.

Tymczasem w niedzielę 28 II przyszła Wańkowa z kościoła z wiadomością, że już dzisiaj chodzi komisja spisywać mieszkania i żebyśmy poszli do siana. Siedzieliśmy w sianie do obiadu, a po obiedzie Wańkowa przyniosła gazetę niemiecką i prosiła, aby tato przeczytał i powiedział co nowego. Znowu muszę pisać ołówkiem, bo p. Władzio musi przecież prowadzić swoją korespondencję atramentem, a może nawet Wańkowej szkoda atramentu. I to możliwe. Może później będę mogła pisać znowu atramentem. Nie wiem, zobaczymy. Na razie trzeba ciągnąć dalej.

W niedzielę po południu Miśku przyszedł tutaj z kartami, abym z nim grała. Całkiem po prostu, miał pójść do kina, ale że nie chce mu się, bo zimno na dworze, więc z braku laku przyszedł grać w karty. I tak zszedł znowu jeden dzień naszego więzienia. Bo jak mój tato mówi, że dostaliśmy się do więzienia na nieograniczony czas, no a że coś nowego przeskrobaliśmy, dostaliśmy 3 dni ciemnicy, to znaczy siedzenia w sianie. Zupełnie słusznie.

Tymczasem 1 marca rano w poniedziałek tato zbudził mnie dość wcześnie i poszliśmy do „ciemnicy". Dopiero teraz, gdy siedzimy tutaj cały dzień, rozumiemy różnicę, jaka jest między siedzeniem w stajni a tutaj. Stajnia w porównaniu z naszą kryjówką wydaje nam się najelegantszym i przytulnym salonem. Ale gdy przypomnimy sobie, co nam grozi, w razie gdy komisja przyjdzie i będzie szukać, to nawet w kanale byłoby dobrze. No a co byśmy zrobili, gdyby Wańkowie kazali stale nam w sianie siedzieć? Nic. Poszlibyśmy i musielibyśmy siedzieć. Najgorsze jest to, że jest zimno na dworze i w sianie daje się ono dotkliwie odczuć. Ale chwała Bogu, dzień przeszedł spokojnie i komisji nie było. No, ale może jeszcze przyjść.

[16] *Meine gedanken sind bei euch* – „w myślach jestem z wami"; *Ziel muß sein strengs in* [...] *Geheim* – „cel musi być ściśle tajny".

Wieczorem zamierzaliśmy do Wańków nie iść, bo chociaż byliśmy prawie pewni, że tu za miastem nie przyjdą, ale ostrożność nie zawadzi. Tymczasem gdy Wańkowa przyszła, zbagatelizowała nasze obawy i absolutnie kazała nam pójść. Na oświadczenie tata, że jest bardzo odważna, powiedziała bardzo mądrze: „Gdybym ja nie była odważna, to by pana tu nie było". Są to może najmądrzejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziała. Gdy przyszliśmy do Wańków, stary łuszczył kukurydzę. Po pewnym czasie w trakcie rozmowy zwraca się do mnie z zapytaniem: dlaczego nie posłałam Chuchrajowi jakichś zdjęć. Dopiero na nasze zapytania opowiedział, że widział się w mieście z Chuchrajem i ten ostatni pytał go się, co słychać z nami, dlaczego nie dajemy znaku życia o sobie, myślał, żeśmy uciekli na Węgry, bo podobno bardzo dużo Żydów tam ucieka i że nam przywiezie trochę zboża, a będzie na Zasaniu w środę rano i wyraził się w ten sposób jeszcze, według słów Wańka, *„Він хотів щоби я його взяв до себе, але я тепер не сможу*", i, *„дівче мало післати знимкі. Я є там дем був*"[17]. Głupi Chuchraj, po co mówi Wańkowi, że nas nie może wziąć, skoro wie, że my tu jesteśmy. I z tą wzmianką o zbożu też tak. No, ale on nie mógł wiedzieć, że my nie chcemy, żeby Wańkowie wiedzieli, że on nam posyła zboże, bo Wańkowa by nam zaraz dała mniej jeść. No a teraz co do zdjęć. Na pewno tam już się podają o Kenkarty. I nie wiemy, co się stało z tym listem, cośmy do niego pisali. Może Popowicz go nie doręczył, chociaż tak go o to prosiłam? No i teraz co zrobić? Przecież ja innych zdjęć nie mam, a tamto niedobre, bo retuszowane? Straszniśmy się zmartwili. Bo przecież ja do fotografa nie mogę iść, bo o 6-stej jeszcze jasno, a zakłady fotograficzne już zamknięte.

Głowy nam schną. Co tu robić? Aż w końcu wpadliśmy na pomysł. Odkleiłam zdjęcie z tej mojej ukr[ańskiej] legitymacji szkolnej, na której jestem bardzo mało podobna do Żydówki, a może wcale nie, i prosimy Miśka, aby zechciał te zdjęcie zanieść do fotografa, aby z tego zdjęcia zrobił 2 lub 3 nieretuszowane. Kiedy stąd coś załatwić, trzeba chodzić i prosić tygodniami, a tu we środę Chuchraj będzie i można posłać, bo może być za późno. Ale rano Wańkowa nie może odejść, bo może przyjść komisja, a nikogo nie może zostawić w domu. A Miśko, pod porozumiewawczymi spojrzeniami ze swoją kochaną mamusią mówi, że nie wie, czy będzie mógł odejść z pracy. A przecież, bestia wstrętna wie doskonale, że go dyrektor zwolniłby na cały dzień, ale jak zwykle Miśku – krętacz – cygan, podły charakter, droży się i mówi że nie wie, czy będzie mógł. A staremu Wańkowi nawet nie ważymy się zaproponować. [...] Więc stoimy bezradni. W końcu ja powiedziałam do Miśka, że on na pewno będzie mógł i że to musi zrobić. Tylko wątpliwym jest to, czy fotografie będą mogły być gotowe w tym samym dniu. Prawdopodobnie nie.

Przed naszym pójściem spać usiadłam przy łóżku tego draba, aby go namówić, żeby to na pewno załatwił. Gdy tato się odwrócił, to nieczyste stworzenie, ten karlik, przychylił się do mego ucha i szepnął, że jak mu się oddam, to mi to na pewno

[17] „Chciał, żebym go wziął do siebie, ale ja teraz nie będę mógł"; „dziewczyna miała przysłać zdjęcia. Jestem tam gdzie zwykle" (*Win chotiw szczoby ja joho wzjaw do sebe, ale ja teper ne smożu*, i, *dywcze mało pisłaty znymki. Ja je tam dem buw*).

załatwi. Na moje przerażone – „Zwariowałeś czy co?" – odpowiedział „no jak nie to nie". Gdy przyszliśmy do stajni, tato zaraz do mnie z zapytaniem, abym mu szczerą prawdę powiedziała, co ten kretyn mi proponował. A że przecież wyraźnie słyszał, więc powiedziałam, że chciał bym go pocałowała. No bo co miałam powiedzieć. Wtedy tato zaczął sypać na niego. Potem gdy się w końcu uspokoił, uchwaliliśmy, że jutro jak Pan Bóg da doczekać, napiszemy list do Chuchraja [...]. No i wieczorem ja pójdę do Popowicza i powiem mu, aby zaniósł te listy w środę rano i aby z Ch. sam rozmawiał. I z pełnymi głowami myśli poszliśmy spać.

2 III 1943 rok. Wtorek

Gdy już przeszliśmy do naszej komórki, zaczęłam pisać list. Ale było bardzo ciemno, tak że ledwo, ledwo coś niecoś widziałam i gdy napisaliśmy list, usiadłam obok tata i rozmawialiśmy. Prawdę powiedziawszy, cała ta rozmowa była bardzo głupia, ale przecież człowiek jest tylko człowiekiem i często się zapomina. Więc rozmawialiśmy o mnie, o moim zamążpójściu. Otóż tato zaraz po wojnie chce mnie wydać za mąż. Naturalnie to są tylko nasze fantazje, bo przecież nie wiemy, czy dożyjemy następnej godziny, ale mówi się. A więc tatowi bardzo się podoba Fredek Steinhard dla mnie. Śmiech mnie zbiera na myśl o tym, abym kiedyś była żoną Fredka. Ciekawa jestem, czy zawsze tak pragnąłby mnie całować jak przedtem. Może by zobojętniał. Bo ja właściwie nie wiem, jaki on ma charakter i prawdę powiedziawszy nie mam do niego zaufania. Może nim kierowały w stosunku do mnie tylko same zmysły. Bo przecież gdy pewnego razu spacerowaliśmy w getcie po ulicy wieczorem, to w toku najpoważniejszej nawet rozmowy nie omijał żadnej sposobności, by na jakimś ciemnym zakręcie mnie nie pocałować i tylko narzekał, że ja się absolutnie nie chcę dać. No i przecież Raca opowiadała mi, że podobno zalecał się do Surki Mandel. I tak pewnego razu tak ni stąd ni zowąd przychodzi do mnie do domu (czego nigdy przedtem nie robił) i opowiada, że przyszedł niby pożyczyć sobie książkę. I że powinnam o tym dobrze wiedzieć, że on zawsze tylko mnie kochał i kocha i.t.d. Trochę prawdy w tym jest, bo przecież od czasu kiedyśmy się poznali na zabawie w Handlówce, czułam, że mu się podobam. Zawsze zresztą mi to okazywał i niejednokrotnie dziwiłam się, [że] ten Fredek, w którym się tyle dziewcząt kocha i po prostu szaleje za nim, upodobał sobie akurat mnie. Dziwne. Mimowoli przypominam sobie słowa Lili Wahrsager: „Ceśka nie jest b. ładna, ale ma bardzo dużo seksapilu". Ale zdaje mi się, że za daleko troszkę zajechałam. Należy pisać raczej o ważniejszych rzeczach, ale nigdy nie mogę zrozumieć, co ci wszyscy chłopcy, którzy się we mnie tak naprawdę strasznie kochali, tacy, którzy mieli wielkie powodzenie i mogli łatwo zdobyć uczucia b. ładnych dziewcząt, tak strasznie ubiegali się o mnie. A przecież dość dużo było takich. I zaliczałam się przecież do rzędu dziewcząt, które mają duże powodzenie, a przecież przed 5 laty dopiero przyjechałam do Przemyśla i nie znałam ani jednej osoby prócz Linki Kanner. Dziwne. No, ale dość tego. Do rzeczy.

Po obiedzie przepisałam list na czysto atramentem. Gdy już było ciemno na dworze, poszliśmy do klozetu i gdy wróciliśmy w stajni, czekał już na nas Miśku. Ucieszyliśmy się. Ale jak [się] później okazało, nasza radość była przedwczesna,

bo Miśku powiedział, że co do zdjęć, to ma się teraz właśnie dowiedzieć, czy da się zrobić, ale pójść ze mną do Popowicza nie może. I jeszcze zaznaczył, żeby cicho mówić, bo u nich jest Hyk[18]. Gdy zaświecił latarkę, zobaczyliśmy, że jest ubrany, ale on powiedział, że absolutnie nie może ze mną pójść, chociaż idzie do miasta, bo nie wie, kiedy wróci, może aż o 9-tej, a może o pół do 10. I nic nie pomogły prośby i błagania nasze, nie. Gdy odszedł, poprosiliśmy go, aby zawołał Wańkową. Po chwili weszła Wańkowa i gdy ją poprosiliśmy, aby poszła ze mną, oświadczyła, że jest to niemożliwe, bo u nich siedzi Hyk. I gdyby powiedziała nawet, że musi iść [...], to on by poszedł z nią. Gdy poszła, powtarzając, że to niemożliwe aby pójść, byliśmy okropnie zmartwieni. Przecież nam głównie zależało na tym, aby Popowicz osobiście dał ten list Ch. Ale trudno. Zabić przez to się nie zabiję. Tato chciał ze mną pójść. Ale absolutnie nie chciałam się na to zgodzić, bo chociaż ja tak samo nie mam żadnych dokumentów jak i tato (bo z leg[itymacji] odklejone zdjęcie), ale ja to coś innego.

Mimowoli spojrzałam przez nasze okienko na dwór. Na dworze było okropnie. Strasznie ciemno, jak to się mówi „palec w oko pchaj". Oprócz nieprzeniknionej ciemności był straszny wiatr. Okropny. Po prostu huragan. Mimowoli wzdrygnęłam się na myśl, że w taką straszną noc ja miałabym iść do miasta i to przez takie wertepy i jamy, jakie znajdują się po drodze do ul. Słowackiego. Ale ważność sprawy przemogła strach, ale co z tego, i tak nie ma z kim iść. Gdy Wańkowa przyszła doić, ja jak zwykle poszłam po rzeczy do siana, aby pościelić nasze łóżka. Nagle Wańkowa odzywa się: Ubieraj się, pójdziemy – zaraz też się ubrałam i poszłyśmy.

Rzeczywiście na dworze było okropnie. Zaraz przy wyjściu z furtki z całej siły hrymnęłam się o parkan. Szłyśmy na oślep. Wiedziałam, że wypada po drodze przejść przez szeroki rów, gdzie są tylko cegły, i z góry bałam się, jak przejdziemy. Ale widocznie Pan Bóg czuwał nad nami, bo przeszłyśmy na Słowackiego zupełnie spokojnie [...]. Byłam strasznie wdzięczna Wańkowej, że w taką noc zdecydowała się ze mną pójść po całodziennej harówce. Oprócz okropnego skąpstwa to jest możliwa. To co nie kosztuje pieniędzy, to prędzej zrobi, ale co kosztuje pieniądze na tym kropka. [...] Już na Słowackiego na dole spotkałyśmy Miśka. Już wracał do domu. Kłamca. Ale mimo wszystko ucieszyliśmy się, bo jednak jeszcze jedna osoba, no i on miał latarkę. Szło się trochę raźniej. [...]

Popowicza spotkałam chwała Bogu w domu, a że był ktoś u niego, dlatego od razu przeszliśmy do łazienki i tam rozmawialiśmy. Ten ciamajda list dał żonie, aby zaniosła, bo sam był chory, a ona zapomniała. No, ale trudno. Opowiedziałam mu wszystko, co ma zrobić i jak. Ale taki ślamazara może coś zapomnieć, ale i tak nie ma rady, a nie mam innego tak uczciwego. Opowiedział mi że był u niego jeden Żyd z getta i opowiadał mu, że w getcie będą dwie dzielnice. Jedna dla pracujących, a druga dla niepracujących. [...] Gdy wracaliśmy do domu, byłam zdenerwowana. Nie wiem, ale jak jest takie powietrze, wiatr silny przed burzą, albo jak jest bu-

[18] Hyk był sąsiadem gospodarzy z nieodległej ul. Słowackiego. *Wykaz ulic, placów i domów w mieście Przemyślu*, Przemyśl 1932.

rza, zawsze wtedy czegoś się boję i jestem zdenerwowana. Dopiero uspokoiłam się w objęciach mego ukochanego tatuńcia.

3 III 1943 rok. Środa

W końcu doszłam już do dnia dzisiejszego. Niestety muszę dalej pisać ołówkiem, którym się wprawdzie prędzej pisze, ale prędko zamazuje. Trudno. Dzisiaj nie zaszło nic godnego zapisania. Wańkowa przyszła z miasta i powiedziała, że była u fotografa i że musi się zrobić 3 zdjęcia, a że to kosztuje tyle co 6, więc kazała zrobić po 6 zdjęć. Razem moje i tata mają kosztować 50 zł. Strasznie drogo. 12 zdjęć nie retuszowanych 50 zł? Nie wiem, czy Wańkowa coś na tym nie zarabia, ale to przecież i tak wszystko jedno. A zdjęcia są bardzo ważne. Kazała jej przyjść zapytać się w niedzielę, a jak nie będą gotowe, to dopiero we wtorek. Żeby chociaż były dobre i się udały.

Gdy przyszedł Władek wyrzucić gnój, opowiedział mi, że pisała do niego Hanka Unger, aby jej coś załatwił. [...] I że on jej odpisze przez jakąś katoliczkę z poczty. Więc go prosiłam, jak list ten dojdzie do Hanki i ona mu odpisze, to ja napiszę list do Racy i on mi nada. To by było cudownie, gdybym mogła się skomunikować z Racą. Daj Boże.

4 III 1943. Czwartek

A więc komisja do Wańków nie przyszła. Ominęli ich. Chwała Bogu. Tymczasem sytuacja Niemiec na froncie znowu się polepszyła. O tyle że już się nie cofają, a podobno nawet idą naprzód. W każdym razie walki są drastyczne. I znowu Anglii i Ameryce zatapiają strasznie dużo tonażu, a Hitler, to znaczy gazeta, już triumfuje. Mówią ludzie, że podobno mają brać ze wszystkich narodowości do wojska niem[ieckiego]. To by było gorzej. A jest to zupełnie prawdopodobne, no bo Hitler w mowie mówił przecież, że będzie teraz robił takie rzeczy, czego świat nie widział, byle wygrać wojnę. Ja mu wierzę, że on potrafi robić takie rzeczy, że włosy dęba stają. Ale myślimy, że Wańka nie wezmą, bo robi służbę państw[ową], ani Chuchraja, bo rolnik, ani Popowicza, bo zezowaty. Daj Boże, aby ich nie wzięli. I jeszcze gazeta bębni o tym, że Rosja chce mieć takie jeszcze większe granice jak w 1939 roku. [...] Źle by było, gdyby tu byli bolszewicy, bo byśmy ani pola, ani kamienicy nie mieli. Gdyby zmienili program i pozwolili mieć to, co my mamy, to coś innego. Ale co można wiedzieć, co będzie. W każdym razie Wańkowa na to konto coraz mniej daje jedzenia, bo przecież jak tu będą bolszewicy, to my nie będziemy mogli dać 5 mórg pola. I na to konto daje coraz mniej jedzenia i coraz gorsze. Zawsze jesteśmy głodni, nawet po jedzeniu. I to coraz bardziej jesteśmy wygłodzeni i prosimy Pana Boga, aby Churchaj wyrobił nam Kenkarty i zabrał nas do siebie. Boże, zlituj się i daj by tak było. Myślę, że jedzenia by nie żałował.

5 III 1943 rok. Piątek

Gazety nie mamy, ale dzisiaj Miśku przyszedł z miasta i powiedział, że podobno Rosjanie zajęli znowu 2 miasta i posunęli się naprzód. Ale jakie, gdzie i co, tego nie

wie. W ogóle o jakąś wiadomość, aby miała ręce i nogi, tutaj bardzo trudno. Chyba że stary coś przyniesie.

Tymczasem z jedzeniem jest coraz gorzej. My jesteśmy coraz bardziej wygłodniali, a Wańkowa daje coraz mniej jeść. W ogóle jest okropną świnią. Strasznie po świńsku postępuje. Ja, mimo że według słów tata jestem niedobra, myślę, że nigdy nie mogłabym być taką świnią. Tak na każdym kroku wykorzystywać jak ona? I do tego ciągle powtarza, że jest bardzo dobra i nie może patrzyć, jak ktoś głoduje. A pobożną jest okropnie i nie zależy jej, jak twierdzi – jak jej jest na tym świecie, tylko na drugim jak jej będzie. No dobrze, ale dlaczego jest taka zachłanna i wykorzystywaczka. Przede wszystkim musieliśmy kupić jeszcze 1 kg chleba. Tak że kupujemy teraz 3 kg chleba tygodniowo, co wynosi 40 zł, a ona nam w ogóle nie daje śniadania oprócz lury bez smaku, a często gorzkiej. Przedtem mieliśmy chleb na 4–5 dni, a potem ona dawała śniadanie, a teraz zmądrzała. A więc płacimy za 2 razy dziennie jeść, 25 zł. Strasznie drogo. I to jeszcze jak jeść? Coraz mniej, a zupy coraz rzadsze. Czasem zanim doczekamy się obiadu, to nam mało oczy nie wyłażą z orbit, a głowa pęka z głodu i z bólu. Ale przecież ona nie lubi i nie może się patrzeć, jak ktoś głodny.

Dzisiaj musiałam z całej siły się powstrzymać, aby jej nie powiedzieć parę miłych słów. Otóż ten mały chleb wyszedł na 3 razy, więc do końca tygodnia, to znaczy że ten duży chleb ma być na 4 razy. A więc dlatego, że ten chleb jest dość duży stosunkowo, więc kochana pani Wańkowa bała się, abyśmy się nie przejedli i na kolację wczoraj tatowi dała trochę fasoli z barszczem, którą może Miśku nie chciał jeść, a mnie kazała sobie wziąć kawę z moim chlebem. Bezczelna. I patrzyła mi się na ręce. A ja idiotka, ukroiłam sobie mały kawałek, tak że bezpośrednio po zjedzeniu go byłam głodna. Nie mogłam wziąć więcej, podczas gdy ona patrzyła mi się w ręce. Ale żałuję. Bo z takimi chamami nie warto postępować delikatnie. A rano ta świńska baba przyniosła 2 cieniuchne kromki chleba, bo bała się, aby nie wystarczyło. W ogóle każdy kąsek, jaki nam daje do ust, jest dokładnie obliczony. Zarabia na nas przeciętnie do 10 zł według ceny paskowej, a oprócz tego to przecież kartofle czy jagła, czy kapusta w ogóle jej nie kosztują, a mimo to żałuje.

6 III 1943 rok. Sobota.

Nic nowego. Ciągnie się dzień za dniem, a dobrej nowiny żadnej nie ma. Wprawdzie Wańków przyszedł z miasta i opowiadał, że po gazetę ogonek stał, ależ gdzieżby taki hrabia jak on stał w ogonku po gazetę. Możliwe, że jest coś nowego, ale co to jego obchodzi. Dobrze, że on sobie zrobił przez noc 3 l wódki, zjadł dobry obiad i położył się spać, a śmierdzi, że nie można koło niego przejść. A ty głodny, wąchaj smrodu, kozy i krów i świni leżąc na węglach. I za co? Na to nie ma odpowiedzi. Tak jest i koniec. I czy kiedyś będzie tak jak było dawniej i czy my tego doczekamy, o tym jeden Pan Bóg wie. I z taką nadzieją trzeba żyć, bo chce się przeżyć. A co z Romkiem czy z mamą, jeden Bóg wie. Znowu On i tylko On. Bardzo wątpliwe, czy się kiedyś zobaczymy. Jak o tym myślę, to tak mam w sercu jakby dziurę i tam tak rwie, okropnie. A tu nie można nic mówić i trzeba jeszcze tatę pocieszać. Często

człowiek odbiega daleko myślami od ponurej i przykrej, wręcz tragicznej teraźniejszości do przeszłości, słodkich wspomnień, albo do przyszłości, do krainy fantazji i marzeń. Ale takie chwile trwają nader krótko, bo zaraz jakiś brutalny dźwięk odezwie się o teraźniejszości. Czasem wysilam się, aby o niczym nie myśleć i w ogóle mieć pustkę w głowie, ale rzadko mi się to udaje.

Tej nocy na przykład, oprócz innych rzeczy, których naśniła mi się pełna głowa, śniło mi się, że byłam w Sądowej Wiszni u rzeźników Rechesów[19] i wyjrzawszy przez okno zobaczyłam na podwórzu całą naszą szkołę w komplecie. Głównie widziałam Julka Bergera w jasnym ubraniu i jak zwykle jako nieosiągalny szczyt marzeń. Potem widziałam Ryśka Frima i Fredka Steinharda, grali w siatkówkę, a jak im klaskałam z góry, Fredek podniósł głowę i ślicznie śmiał się do mnie. Potem Poldka i Julka Kleingruba też widziałam. A głównie, jak i w rzeczywistości, myśli zajęte były Julkiem B. [...] Fotografował jakąś dziewczynę, a ja zastanawiałam się, co mu mogło się w niej podobać. Potem śniło mi się, tak nie przylepił nie przyłatał. I na to konto bawiąc się dzisiaj wycinankami jak małe dziecko, wycięłam taką wycinankę, którą tutaj załączam, aby służyła jako wspomnienie. Strasznie się nudzę i nie mam co robić, więc czepiam się dla zabicia czasu czegokolwiek. Jestem pewna, że Julek B. (nie wiem wprawdzie gdzie on jest) ani chwili, ani sekundy, nie wspomina o mnie i na pewno zapomniał, że kiedykolwiek Cesia istniała. A dlaczego ja mam myśleć o nim? Już w czerwcu będzie 2 lata, jak się gniewamy o takie głupstwa, a czy nawet jak przeżyjemy to wszystko, kiedyś się przeprosimy, bardzo wątpię. Taki zarozumiały i dumny jak on, przeprosiłby mnie, na której, według mego zdania, nic już teraz mu nie zależy? Ale dosyć tych bajdurzeń.

Wieczorem, z okazji że jutro są zapusty i że Wańkowie zrobili wódkę, gdy przyszliśmy wieczorem do nich, Wańkowa poczęstowała nas 2 kieliszkami wódki, z czego skorzystaliśmy i wzięliśmy sobie po kromce chleba jako przekąskę. Naturalnie z naszego chleba, ale przecież ten ona nam przydziela. Potem jak zwykle dała kartofle. Gdy przed duszeniem kartofli tato poprosił ją o 1 cały, bo strasznie lubi takie zaraz po odcedzeniu, dała mu, poczym zdjęła kilka dla psa. Potem Miśku kazał mi, abym dała tatowi jeszcze jeden, odpowiedziała, że nie można, bo to dla psa. Tak dalece skąpa jest, że żałuje kartofla.

7 III 1943 rok. Niedziela

W nocy nie mogłam spać. Możliwe, że to przez te 2 kieliszki wódki. Gdy wypiłam je, zaraz mi się zaczęła głowa kręcić. Nie przyzwyczajona jestem. [...] A zwykle gdy nie śpię w nocy, to nad ranem śpię, ale dzisiaj nie mogłam, bo przedwczoraj spałam trochę dłużej, więc Wańków już zwrócił uwagę, a że tato go się boi, więc musiałam wcześniej wstać. Ale to gorzej. Bo im wcześniej wstaję, tym głodniejsza jestem. A tym bardziej dzisiaj, [bo] Wańkowa poszła do kościoła i bardzo późno przyniosła śniadanie.

[19] Rechesowie z Sądowej Wiszni, to rodzina autorki. www.jewishgen.org/jri-pl/.

Wańków został sam w domu, bo wszyscy poszli do kościoła, a on ma o 12 jechać do Sandomierza po mąkę. [...] Zanim pojechał, przyszedł się z nami pożegnać, co nas mile zdziwiło, gdyż przedtem tego nie robił. [...] Ma przywieźć 20 kg białej mąki. Dużo my z niej będziemy korzystali? Za nasze pieniądze Wańkowa będzie swemu Władziowi robić białe pierogi, a nam czarne. Tak już jest. Na obiad dała trochę kartofli z barszczem i 18 małych pierogów, wyjątkowo z białej mąki. Po całym obiedzie byłam głodna. Czasami zdaje mi się, że tego nigdy nie było, że kiedyś jadłam takie pyszności i ile chciałam, ba, nie miałam apetytu, a teraz człowiek tak okropnie głoduje. Ale zaraz mi na myśl przychodzi, że mama i Romek i tego nie mają. Kto wie, czy żyją? Doprawdy, że nie mogę sobie uzmysłowić, jak można żyć w takich warunkach. Mówmy Romek. Przecież głód cierpi okropny. Sam tato widział, jak jeńcy rzucają się na brudne nadgnite łupy. No a robactwo, które ich nęka dniami i nocami. I teraz on jako Żyd, w niemieckiej niewoli pod ich karabinami czy nahajami. Żebym była tak głodna, to jak sobie uzmysłowię, w jakiej sytuacji on się znajduje, to zaraz jestem syta. Mimo tego że mieliśmy wiadomość, nie mogę uwierzyć, aby to wszystko przetrzymał, nawet gdyby go nie zastrzelili. Boże! Boże, zlituj się i czuwaj nad nim i nie daj mu zginąć! A mama? Gdy przestaję się łudzić i uświadamiam sobie tę nagą, straszliwą prawdę, to mi się ciemno robi przed oczyma, a włosy dęba stają.

Chuchraj mówił, że koło Rawy Ruskiej elektrycznością zabili 2 mil. Żydów, a potem ciała palili i proch zakopywali[20]. I jak Pan Bóg może patrzeć na takie okrucieństwa i nie karze takich łotrów i opryszków za to? Tyle niewinnych ludzi poszło i ile jeszcze pójdzie, z rąk, z przyczyny, jednego łotra. Wierzę, że to musi być jakaś kara na ludzi. Inaczej nie. Ale co z tego? Mnie tam w duszy wyje, że przecież tam była moja mama. Moja mama! A przecież jakaś kobieta z I-go transportu, którym poszła i moja biedna mama, pisała, że zbliżają się do Rawy Ruskiej, do celu ich podróży. Jedna, nikła wprawdzie, nadzieja w tym, że jakiś poważny szofer opowiadał wujkowi Romkowi, że tam stracą tylko niezdolnych do pracy. A nawet jak wzięli ją do pracy, to w ich warunkach i tak nie można wytrzymać. A gdy pomyślę, ile razy i jak łatwo mogła się wyratować, to szaleję. Boże, nie daj im zginąć i zachowaj ich przy życiu! Bo cóż innego nam pozostaje, jak błagać Pana Boga, jego, co wszystko może i potrafi, aby nas wszystkich czworo uchronił od śmierci i dał przeżyć tę wojnę i doczekać się pokoju. Daj Boże i pomóż!

Przed wieczorem przyszła Wańkowa wyrzucać gnój i napoić bydło. Gdy wszystko już było zrobione, oświadczyła, że jeszcze przyniesie sobie wody, a potem przyj-

[20] Pogłoska o zabijaniu Żydów w Bełżcu prądem elektrycznym była, nawet długo po wojnie, dość rozpowszechniona. Powtarzana przez Ignacego Schwarzbarta, później przez Szymona Wiesenthala, miała najprawdopodobniej swoje źródło w raportach Komendy Okręgu AK w Lublinie z 16 IV 1942 r. oraz Komendy Obwodu AK w Tomaszowie Lubelskim z 28 IV 1942 r., opartych na danych wywiadowczych. Wśród tych danych mogła się znaleźć relacja jednego z rzemieślników z Bełżca, którzy na polecenie Niemców wykładali podłogi w komorach gazowych blachą. Zob. I. Caban, Z. Mańkowski, *ZWZ i AK w okręgu lubelskim 1939–1944*, cz. 2, Lublin 1971, s. 34–35.

dzie po mnie i pójdę już do niej. Na moje i tata uwagi, że może ktoś przyjść, oświadczyła, że nikt już nie przyjdzie i śmiało mogę przyjść. Więc poszłam naprzód do klozetu, a potem miałam iść do niej. Nagle, będąc w klozecie, słyszę męski głos, a po chwili przylatuje Wańkowa i nakazuje mi, abym nie wychodziła. Po pewnej chwili ostrożnie dostałam się do stajni. Potem znowu przyszła Wańkowa i oświadczając, że ten chłop już poszedł i że możemy już iść. Potem przyszedł tato i Wańkowa dała nam stosunkowo dobrą kolację. Tatowi dała 7, a mnie 5 gołąbków z kaszy jaglanej. W ogóle przekonaliśmy się, że Wańkowa gdy daje nam osobno, to daje więcej. Ale cóż z tego? Wszystkie obiady przynosi przecież razem dla Tata i dla mnie. Ma taką sowiecką, tak zwaną „szalkę" alumin[iową] i w niej, zależnie od usposobienia czy humoru, przynosi raz wyżej i więcej, i gęściej, a raz odwrotnie. Chwała Bogu i za to! [...] Rozmawialiśmy do późna, a potem poszliśmy spać do naszej „sypialni".

8 III 1943 rok. Poniedziałek

Dzisiaj obiad był stosunkowo wcześnie, z tego względu, że Wańkowa poszła po Wańka do stacji.

Miśku jeszcze na nowy rok kupił kalendarz i dopiero go dzisiaj gruntownie przeczytałam. Jest tam dużo wskazówek, jak ma człowiek postępować, aby być zdrowym. Więc dopiero teraz zupełnie jasno uzmysłowiłam sobie, że my postępujemy wprost przeciwnie. Ale trudno! Taki psi czas! Ani powietrza, ani ruchu, ani słońca, ani odżywiania racjonalnego, ani mycia, ani żadnych wiadomości, ani stosowania środków czystości przeciw chorobom. Ale przecież Mama i Romek tak samo, ba jeszcze gorzej im jest, o ile w ogóle żyją. Żeby chociaż człowiek wiedział, że przeżyje.

A tymczasem nie ma żadnych widoków, aby to się wnet skończyło. Gazety nie mamy już od tygodnia. Wczoraj dostałam period. Już 3-ci raz od czasu jak przyszliśmy tutaj. W ogóle nie wiem, co to jest. Od kwietnia tamtego roku do czasu jak przyszliśmy tutaj w ogóle nie miałam[21]. Czyli że od czasu jak zaczęłam pracować w Bakończycach, aż do czasu jak przyszliśmy tutaj, w ogóle nie miałam. Dopiero tu zaczęłam dostawać i już chwała Bogu 3-ci raz zupełnie punktualnie i normalnie. Nawet w getcie byłam u lekarza, który po zbadaniu powiedział, że to nic i że samo przejdzie.

Wańków przyjechał i przywiózł 20 kg białej mąki. Dużo my z niej będziemy jeść? Nie przywiózł żadnych wiadomości prócz tego, że w Przeworsku widział na ulicy zabitego Żyda i że kilka wagonów Niemców zaplombowanych jechało z powrotem do Niemiec. W ogóle z wojną jest zupełnie cicho. Tak jakby jej w ogóle nie było. Żadnych plotek nawet nie przynoszą. [...] Czasami w rozpaczy nasuwa mi się pytanie: a może Anglia i Ameryka nie są w stanie niczego zrobić przeciwko niemu.

[21] Zatrzymanie miesiączkowania było częstą i typową reakcją organizmu na stres w gettach i obozach. Wpływały też na to ciągłe niedożywienie i anemia. Powrót miesiączkowania może być więc znaczący.

No bo co jest właściwie? Dlaczego Turcja i Szwecja siedzą cicho? Ale kto by coś z tego zrozumiał? A tu człowiek żyje jak na wodzie, a końca nie widać.

9 III 1943 rok. Wtorek

Dzisiaj przeżyliśmy dzień pełen zmartwień, które bynajmniej się nie skończyły. Otóż dzisiaj przecież miały być gotowe fotografie. A ja jeszcze wczoraj zapytałam się tata, co by było, gdyby ta fotografistka poznała, żeśmy Żydzi i dała te zdjęcia na Gestapo. Ale mój kochany tatuńciu w nocy nie śpiąc rozmyślał nad tym, a że w nocy wszystko jest straszniejsze, więc rano zaraz pytał się Wańkową, co to za fotograf, jak i co. A Wańkowa zaraz jak każda baba, lubi robić z igły widły i że trzeba było o tym wcześniej pomyśleć, a to a owo. Tato bojąc się, że nie zechce pójść albo powie staremu, albo Władziowi, dał spokój.

Dopiero gdy ona poszła, zaczęliśmy o tym mówić. Były z powodu tych zdjęć różne niebezpieczeństwa. Piszę były, ale jeszcze są. Otóż przede wszystkim, może nas ktoś znać z tych pracowników. Po drugie, przecież jest to oczywiste, że to Żydzi, bo przecież takie zdjęcia robili tylko w getcie do kenkart, które mieli wydawać. I jeszcze do tego Wańkowa, na naszą prośbę naturalnie, prosiła, aby w moich zdjęciach fryzurę zniżyć, bo są one robione jeszcze wtedy, jak ja nosiłam włosy tak wysoko jak Raca. A że to jest więcej podobne na Żydówkę i że teraz noszę z przedziałką na boku, więc dla tego kazałam zniżyć. A więc wszystko razem wskazuje na to, że to są Żydzi, a że Wańkowa te zdjęcia przyniosła, więc u niej są. No i nieszczęście gotowe! Baliśmy się, że mogą ją od razu zatrzymać [...]. Ale chwała Bogu przyszła, ale cóż z tego, zdjęć nie przyniosła. Będą dopiero gotowe w piątek. Psiakość. Dlatego że nam tak bardzo zależy, aby to było jak najprędzej, dlatego tak długo trwa. A przecież może być za późno. Trudno. Tak się wiedzie. I teraz trzeba bać [się] do piątku. Ale mam w Bogu nadzieję, że może nic już nie będzie, bo gdyby mieli broń Boże coś robić, to myślę, że może by byli dotychczas już coś robili. [...]

Zaraz po południu Wańkowa zawołała mnie prać. [...] Podczas prania przez okno wychodzące na ulicę widziałam jeńców. Może 40 jeńców szło pod karabinami 5 żołnierzy[22]. Strasznie wyglądali. Wprawdzie byli i tacy, którzy nieźle wyglądali, ale przeważnie źle. Takie to wszystko wymizerowane, zmęczone, ciągnie za sobą te nogi obute w drewniaki. Myślałam, że mi serce wyskoczy. Przecież tak musi wyglądać nasz kochany Romek [...]. Co bym dała za to, abym chociaż wiedziała, że żyje [...]. Ale cóż z tego? Próżne marzenia. Kto wie, czy kiedyś zobaczymy się w ogóle z Romkiem, a w ogóle wątpię, czy z mamą. Żeby się Pan Bóg zlitował nad nami i pomógł, byśmy mogli wszyscy czworo przeżyć wojnę i doczekać się pokoju. Może... może. Gdyby nie ta nadzieja, to by człowiek dawno już krypnął.

[22] Autorka widziała jeńców prowadzonych z dworca kolejowego na Bakończycach do obozów jenieckich w Pikulicach bądź w sąsiedniej Nehrybce (Stalag 323/327). Szacuje się, że w tych obozach zagłodzono na śmierć ok. 4500 jeńców różnych narodowości. L. Włodek, *Lata 1939–1944 w przemyskich obozach jenieckich*.

Przed wieczorem spotkała mnie znowu przykra historia. Otóż tato mówił, że jak będę rozmawiała tak przy praniu ze Wańkową, to w trakcie rozmowy abym jej powiedziała, żeby zamiast kawy rano dawała nam kilka kartofli gotowanych w łupce. Nawet wyraziłam się w ten sposób, że jak gotuje świni, aby nam zdjęła kilka. Bo tą kawę i tak pić nie możemy, bo jest wstrętna i do tego gorzka, no i z kawy i tak nic nie mamy, a gdybyśmy zjedli kilka kartofli, to byśmy byli sytsi. Ale jak zwykle skąpa Wańkowa i kilka kartofli w łupce jej żal. No i jak zwykle ona, że kartofli w piwnicy jest mało, że jej się nie chce wystawać i specjalnie dla nas gotować. No i z tego zaczęła się cała pogawędka na ten temat. W między czasie przyszedł Miśku i Wańkowa zaczęła mówić jak zwykle ona: „A wisz Cesiu, powiem ci prawdę, że mi w ogóle nie opłaca się to wszystko. 25 zł dziennie za dwie osoby to strasznie mało. Wiesz, chcieli przyjść do nas Żydzi, to dawali nam 100 zł dziennie. To różnica. A mąka kosztuje już 31 zł. Ale tak wzięliśmy z góry i kupiło się mąkę więc" ... i na tym urwała. A Miśku dopomógł: „Nie, wiesz Cesiu, że naprawdę, nie dla tego, abym ci chciał to mówić, że jesteś u nas, ale Alma chciał mi dać kobietę z dzieckiem, która też chciała płacić 100 zł dziennie"[23]. No i co ja miałam na to odpowiedzieć? Nic się nie odezwałam, tylko spuściłam głowę i milczałam, a krew zalewała mi twarz. Ja w ogóle jestem wariatka na punkcie ambicji. No a mniejsza z ambicją, ale to widoczne jest, że przy lada okazji ona podwyższy i Bóg wie jak wysoko. Ujrzałam jak gdyby przepaść przed sobą. Skąd weźmiemy? A tu nie ma nikogo, kto by nam chciał pomóc, do kogo w ogóle moglibyśmy zwrócić się z taką propozycją, prócz Chuchraja. A co będzie, jak i ta jedyna deska ratunku odwróci się od nas? Wtedy można tylko to odpowiedzieć, że czeka nas śmierć. Okropność!

10 III 1943 rok. Środa

Wstaliśmy dzisiaj w złych nastrojach. No bo jakże się w tu dziwić. I do tego miałam przykry sen. Bardzo niewyraźny, coś jakby przyszliśmy hurmem ze szkoły do szpitala i podobno wyszła pielęgniarka i kazała nam, by być cicho. Byłam zdaje się w czarnej bluzce czy sukience, a to wszystko miało zdaje się to znaczenie, jakoby mama umarła. Broń Boże i czuwaj nad nią! Jeszcze teraz, gdy przypominam sobie ów niewyraźny i chaotyczny sen, to niewiadomo dlaczego przykro mi się jakoś robi. I w ogóle, o ile mi się coś śni, to mama strasznie często. Daj Boże żeby żyła i była zdrowa!

Rano byliśmy strasznie przygnębieni. Widzieliśmy przed sobą drogę bez wyjścia. Czasami zdaje się że ot, ot już będzie koniec, a czasami, Boże, na pewno długo. Tymczasem o froncie ani słowa nie dowiadujemy się. Wańkowie nic nie opowiadają, twierdzą, że nie ma nic nowego, a gazety nie ma, tak że w ogóle nie wiemy, co jest, a podobno nic nie ma nowego. Rozpacz i już. A tymczasem dnie

[23] Alma, Alm, to dość rzadkie nazwisko. Najprawdopodobniej owa „Żydówka z dzieckiem" to Regina Almowa, wdowa po polskim oficerze, która ostatecznie ukryła się we Lwowie. M. Orwid, *Przeżyć... I co dalej?*, z Marią Orwid rozmawiają Katarzyna Zimmerer i Krzysztof Szwajca, Kraków 2008, s. 63.

lecą, jeść, a co za tym idzie, płacić trzeba, pieniądze się wyczerpują, a żadnej nadziei nie ma. A tato okropnie rozgoryczony i zmartwiony i mówi że gdy pomyśli, że przez marne 4–6 tys. zł człowiek musi postradać życie, mając taki majątek, to mózg się podnosi. A za te pieniądze moglibyśmy mieć kenkarty i może tą drogą prędzej by się człowiek uratował. Ale ja wierzę mocno w przeznaczenie. Niech się dzieje wola Boża.

Ale gdy Wańkowa zawołała mnie prać i gdy zobaczyłam tę pogodę na dworze, to mi się serce zaczęło krajać, że my musimy siedzieć w zaduchu stajni, podczas gdy na dworze taka cudna pogoda, ciepło, słonecznie, jednym słowem wiosna w całej pełni, aż się człowiek rwie do życia i mimo woli uśmiech wchodzi na usta i człowiek nawet pod ciężarem tylu i tak strasznych zmartwień weseleje. Boże, Boże! Może jednak zlitujesz się nad nami i dasz nam przeżyć to zło i żyć jeszcze jako wolni ludzie. Dopiero teraz rozumiem słowo „wolność" w pełni znaczenia tego słowa.

Dostaliśmy dzisiaj nową sublokatorkę. Jest nią kurka, którą Wańków dostał w prezencie od kogoś za pastwiska. Mamy mało, więc jeszcze kury brakuje nam do kompletu. [...] A ta cisza z wojną jest okropna. A tu nic nie można się dowiedzieć.

11 III 1943 rok. Czwartek

Dzisiaj ułożyliśmy teksty 5 listów. Jutro, jak Pan Bóg da doczekać, trzeba przepisać na czysto i jeszcze jeden list napisać. Otóż wszystkie listy są dzwonami bijącymi na ratunek. W każdym liście jest pokorna gorąca prośba o pożyczkę. Jeden list jest do Wincenta Karkulowskiego, gospodarza na 20 morgach w Dmytrowicach, polaka [*sic*!], który kiedyś był wójtem, aby pożyczył 5000 zł. U niego te 5000 zł to tyle co u nas 5. Drugi list napisaliśmy do Józefa Karkulowskiego Ten wprawdzie ma tylko 5 morgów pola, ale dość bogaty i z tatem dobrze żył, a nawet jak tato był już za Niemców w Dmytrowicach, to mu pożyczył 50 kg pszenicy. Trzeci list napisaliśmy do Żłydnyka, który był za Sowietów hołową (wójtem), który właśnie za Sowietów zabrał nam nasz dom i postawił na swojem. I za Niemców, jak tato był w Dmytrowicach, chciał koniecznie zapłacić, ale tato nie chciał. Teraz właśnie tato napisał, aby mu pożyczył 10 000 akonto na dom. Czwarty list napisaliśmy do Romka Świtłyka do Sądowej Wiszni, handlarza koni, z którym tato b. dobrze żył i handlował, ale za Niemców syn jego był naczelnikiem milicji ukr[aińskiej] i był podobno straszny pies. Piąty list napisaliśmy do Szczekota. Jest to dzierżawca dóbr w Rodatyczach koło Sądowej Wiszni, gdy Sowieci przyszli, uciekł na tamtą stronę, gdzie ma właśnie majątek. Dokładnie adresu nie znamy, ale tatowi zdaje się, że to w Żurawiczkach koło Przeworska. A więc i do Świtłyka, i do Szczekota napisaliśmy, aby nam pożyczyli po 5000 zł. Boże! Modlę się codziennie, aby te listy nie pozostały bez echa i żeby się Pan Bóg zlitował nad nami i pomógł już nam. Byłby już największy czas, ale wiadomo jak mówią, że Pan Bóg sprawiedliwy, ale nie rychliwy. Może, może jednak się wnet zlituje.

Wieczorem, gdy poszliśmy do Wańków, odzywa się do mnie ten karlik Miśku: „Oho Cesiu, już nie pójdziesz do Popowicza, chyba aż po wojnie", a na nasze liczne zapytania odpowiedział, że szedł do miasta i na ulicy spotkała go Marysia Trybal-

ska i prędko kazała mu zawrócić, bo na ulicy strzelają. Podobno w mieście zastrzelili 5 osób. A stary Wańków opowiedział, że słyszał, jakoby gdzieś na ulicy zastrzelili fotografa z rynku, Wysockiego[24].

Głowa mnie aż rozbolała. I właśnie teraz, jak ja tak strasznie potrzebuję iść do Popowicza zanieść te listy, taka historia staje na przeszkodzie. A przecież absolutnie nie wolno nam posłać tych listów przez Miśka, bo ten krętacz i cygan na pewno by je otworzył, a gdyby oni przeczytali o jakie sumy my prosimy, aby nam pożyczyli, nie zastanawiając się nad tym, czy pożyczą, czy nie, podwyższyliby. Bóg wie jak wysoko i wyzyskiwaliby jeszcze gorzej na każdym kroku. No i co będzie?

12 III 1943 rok. Piątek

Dzisiaj zaraz zabraliśmy się przepisywania listów. Przepisałam te po ukr[aińsku] do Świtłyka i do Żłydnyka, i do Karkulowskiego W. [...] Po napisaniu tych listów napisaliśmy jeszcze list do Bajorskiego co do Romka. Daj Boże, żeby coś poskutkował, bo ja bardzo mało w to wierzę, aby Bajorski chciał coś zrobić. A nic więcej zrobić nie możemy. Potem napisaliśmy list do Chuchraja, w którym tato radzi mu, aby tamtej dzierżawy w Hnatkowicach nie puszczał, tylko dalej ją trzymał. Gdy się tata zapytałam po co mu to pisze, odpowiedział, że dla jego i dla naszych korzyści. Bo przecież Prałkowce są po tej stronie Sanu, a Hnatkowice po tamtej stronie, i zapchana dziura w lesie, no i należą do Żyda, który Bóg wie czy żyje, a Pan Bóg wie, co może jeszcze być, a jak to jest prawda, że do Sanu będą Sowieci. Ale tego wszystkiego tato w liście nie pisał, tylko napisał, że powody i przyczyny, dla których te rady podaje, powie mu kiedyś osobiście. Potem napisał tak „pro forma", że fotografie posyła mu dla całej rodziny i że z braku papieru owija je w starą metrykę, więc aby się nie gniewał.

Ale tymczasem z tymi zdjęciami w ogóle jest paskudna historia. Przecież dzisiaj miały już na pewno być. Tymczasem gdy Wańkowa poszła po nie, odpowiedzieli, że jutro będą na pewno, i według jej słów, bardzo ją przepraszali. A wieczorem, gdy przyszłam tam, Miśku, który był w mieście, powiedział, że wstąpił po drodze jakoby specjalnie do fotografa i powiedział mu, że będzie dopiero we wtorek. Tak jakby mi ktoś w twarz dał, gdym to usłyszała. Boże, dlaczego nie chcesz nam w tym pomóc? A Wańków powiedział, że to jest cygański zakład. Że Staszek dał sobie zrobić zdjęcie, to mu trzymali miesiąc, a on sam dał, to po wielu kłótniach i targach trzymali mu 2 tygodnie. Ale kto tu o nasze zdjęcia pójdzie się kłócić. A zresztą, jak Wańkowa powiedziała, boi się po prostu zaczynać, bo może się czegoś domyśleć i ma rację. Współwłaścicielką tego zakładu jest siostra Dolka, kolegi Staszka, i ona powiedziała Wańkowej, aby jutro przyszedł Władek, coś w sprawie Staszka czy Dolka. Gdyby Władek, ten „carewicz" czy „następca tronu", jak go tato nazywa, był człowiekiem, z którym można mówić i nie takim tchórzem, to mógłby jej powiedzieć, że te zdjęcia są do kenkarty, no a termin podawania o kenkarty w danej miejscowości już mija. Ale gdzieby on coś podobnego powiedział. Jak jemu to wy-

[24] Fotografa Wysockiego nie zastrzelono.

pada. A tu nam się skóra pali pod nogami, bo przecież może być, i kto wie, czy nie będzie, za późno.

We wtorek już będzie dwa tygodnie, jak Wańków rozmawiał z Czuchrajem. I to żeby chociaż były gotowe we wtorek. I teraz, zanim będzie odpowiednia pora i zanim ktoś zechce ze mną pójść, i zanim Popowicz spotka tam na Zasaniu Chuchraja i da to, tak że zanim te zdjęcia dostaną się do własnych rąk Chuchraja, może upłynąć miesiąc, a tymczasem w marcu Ch. ma się przeprowadzić do Prałkowiec i wszystko może być za późno. A przecież to jest kwestia życiowa. Bo jakbyśmy chociaż mieli kenkarty, to już coś innego. Ale żeby człowiek wydzierał sobie włosy z głowy ze zmartwienia, to nic nie poradzi, bo zależny jest od Wańkowej, a jej się nie śpieszy i ona mówi – co ja Panu poradzę, i już. Rozpacz. [...]

Dzisiaj Wańkowa przyniosła polską gazetę. Wprawdzie polska gazeta jest mało miarodajna, bo piszą w niej, co chcą i co nie chcą, i sami przekonaliśmy się, jak często kłamią. Ale coś niecoś można się dowiedzieć. Więc walki odbywają się tam gdzie przedtem. W rejonie Orła, Charkowa, na przyczółku mostowym rzeki Kubań i.t.d. Wprawdzie, jak sami piszą, opuścili planowo kilka miejscowości zgodnie z rozkazami w celu skrócenia frontu. Ale ich kontratak gdzieś w rejonie Charkowa postępuje płynnie naprzód. I chociaż tylko w tym miejscu, według własnych słów, idą naprzód, w innych są krwawe walki obronne i Sowieci idą naprzód. Nagłówek jest napisany czerwonymi zgłoskami, „Niemcy na froncie wschodnim panami sytuacji". Hochsztaplerstwo i propaganda. [...] Tylko, jak sam przyznaje, Niemcy i Włochy okropnie są bombardowane. Sam przyznaje, że wielkie szkody. Ale co nam z tego? Ameryka i Anglia jakby pospali. Oni mają czas. Cóż im to szkodzi, że tyle ludzi poginie. Oni są bezpieczni.

13 III 1943 rok. Sobota

Śniło mi się tej nocy, że spotkałam się z mamą na ulicy. I strasznie się ucieszyłam. Okropnie. Zaraz też ją zaprowadziłam do mieszkania i opowiedziałam jej mój sen sprzed 4 dni. Śniło mi się wtedy, że mama uciekła z transportu i jest u chłopa koło Rawy Ruskiej. I właśnie tej nocy śniło mi się, że opowiadałam jej tamten sen, w którym mama mi opowiedziała, że rzeczywiście była u chłopa schowana i teraz przyszła. Straszniśmy się cieszyli i powiedziałam jej, że straciła tylko rzeczy, ale to bajka. Sen. Ach, żeby to już była rzeczywistość. Mimo wszystko jaką mama dla mnie była, na myśl o tym, że może już nie żyje albo że się męczy, tak strasznie boli w sercu, że mało nie pęka. A co z Romkiem? A co będzie z nami? Pisząc te słowa, całą siłą woli panuję nad sobą, aby się nie rozpłakać. Nie chcę tata martwić, ale było by mi o wiele lżej, gdybym mogła się wypłakać. Bo warunki są takie okropne, ale bajka o warunki, przecież jak jest, to jest, ale można w tych warunkach, o ile Pan Bóg chciał, przeżyć, ale tak strasznie beznadziejna jest ta cała historia, tak końca nie widać, ani nawet początku końca, że żyć mi się nie chce.

Patrzę przez nasze okienko na dwór. Pogoda cudna. [...] Właśnie na drzewie widzę 2 ptaszki. [...] Boże, jak ja strasznie im zazdroszczę. Są wolni, mogą latać gdzie chcą, robić co chcą i nikt im nie ma do rozkazu. Ani Gestapo, ani schutz-

policja, nikt. [...] I dalej płynie dzień za dniem i w każdym dniu w tej strasznej wojnie tysiące ludzi zostaje zabitych, umiera, wszystko przemija, i ból, i tęsknota. Nie istnieje teraz jednostka, nie liczy się teraz z człowiekiem, staje na drodze, pal... zastrzeli, sprzątnie i koniec. Mimo wszystko tak strasznie chciałabym żyć, ale nadzieja jest tak strasznie marna, jakby jej wcale nie było. I tak siedzieć i patrzeć się na mękę mojego najukochańszego tatuńcia, to serce z bólu pęka. Codziennie gorzej wygląda, sczerniał i wychudł okropnie, w ogóle niknie. O dwie rzeczy proszę Boga, o to, abyśmy przeżyli wszyscy czworo tę wojnę i doczekali pokoju i to, aby w razie gdyby się Broń Boże miało nam coś złego stać, to zawsze mnie naprzód, tak abym nie widziała męczarni tata.

Z trudem udaje mi się powstrzymać łzy. Nie udało mi się. [...] Mimowoli gdy oparłam głowę na piersiach mego cudnego i kochanego tatuńcia, łzy popłynęły same. Nie mogłam się absolutnie opanować. A wtedy jak zwykle, mój najdroższy nade wszystko tatuniu, [...] zaczął mnie uspakajać, [...] tak, że po godzinie odzyskałam równowagę i wstyd mi było, że ja, która mam tata pocieszać i perswadować mu, sama się załamałam, przysparzając mu zmartwienia. Ta głęboka miłość, jaka istnieje pomiędzy moim najukochańszym tatem a mną, trzyma mnie przy życiu. [...] I, biedny, rad by mi nieba przychylić, a nie może... Ale może, może Pan Bóg da, że będziemy mogli we czworo jeszcze razem się cieszyć. Daj Boże, pomóż nam!

Dzisiaj byliśmy świadkami, jak koza (nasza najbliższa sąsiadka) miała małe. Bliźnięta. Tak to ledwo przyszło na świat, już meczało, a po 2 godzinach już chodziło i ssało. Tak, jak mój tato obliczył, że w tej stajni jest już 8 istot żyjących: 2 krowy, 3 kozy, nas dwoje i kura. Świni nie liczę, bo ma osobną kuczkę.

Dzisiaj tato wypuścił na dwór kurę, bo bardzo gdakała i skakała do okna, a ta zasuwa, która jest tu w stajni, przy odmykaniu głośno się odsuwa. A że dziś Władek jest w domu, więc słyszał to. Zaraz też przeleciała Wańkowa, że Władzio słyszał, jak się odmykało zasuwę i aż go to poderwało, bo przecież Władzio, ten tchórz, jak coś powie, to święte, a jak jego nie ma, to Wańkowa woła mnie na dwór zaganiać kurę, ale jak Władzio mówi, że może ktoś być na podwórzu i słyszeć, to przecież zawsze Władzio ma rację. I nie pomogą żadne perswazje Tak jest i koniec.

14 III 1943 rok. Niedziela

Jest bardzo zimny wiatr na dworze. Jak zwykle marcowy. Tak jak mój tato mówi, że zdaje mu się, jakby przesiedzieliśmy tu już całe lato i nadchodzi jesień. I pyta się sam siebie, czy doczekamy do tego czasu i jaka zmiana do tego czasu zajdzie. [...]

Mimo tego że na dworze jest taki zimny wiatr, mój papuńciu kochany ubzdurał sobie, że się będzie myć tutaj w stajni w zimnej wodzie, bo nie chce trudzić Wańkowej. I rzeczywiście tak zrobił. Zostawił sobie konewkę wody z pojenia krów i rozebrał się, a ja mu polewałam z garnka. Tragiczny to był obraz. W ogóle jak wszystkie obrazy w naszym teraźniejszym życiu, o ile można te męczarnie nazwać życiem. Po prostu teraz zrozumiałam, co znaczy wyrażenie „błoto rośnie na tobie". Można scyzorykiem drapać. Ja chociaż skorzystałam w tamtym tygodniu z tego, że Miśku się kąpał, a potem w tej samej wodzie Wańkowa, więc mimo wstrętu ką-

pałam się z Wańkową. Jak jest to jest, ale nie mam na sobie chociaż tego błota. Tato wychudł okropnie. Po prostu skóra i kości. I nie dziwota. Bo z czegoż ma dobrze wyglądać. Głód, chłód i nędza, a do tego ciągle strach przed śmiercią i zmartwienia z powodu Romka i mamy i.t.d., i.t.d. Dziwię się, że i tak wyglądamy. Ale na myśl o tym, jak wyglądają Romek i mama, czy w ogóle wyglądają, zamykają nam się usta, przestajemy narzekać. Tylko nie mogę patrzeć na mego wychudzonego i wybiedzonego tatuńka. I za co? [...] Boże, Boże! Zlituj się i pomóż. Wystarczy już tej biedy.

Tymczasem Miśku dzisiaj przyszedł do stajni i powiedział, że jeszcze wczoraj przyniósł po jednym zdjęciu, bo reszta były mokre. Co to znaczy pluskwa. Wie dobrze, jak bardzo my jesteśmy na te zdjęcia ciekawi, jak nam na nich zależy, aby były jak najprędzej i wczoraj wieczorem byliśmy tam, jak przyszedł z miasta i nie dał nam. Taka to wstrętna pluskwa. Lubi się napawać widokiem czyjegoś zmartwienia. Zdjęcia są wstrętne. Moje o wiele gorsze od tata. Po prostu wole mam na szyi. Prawda że mam wypukłą szyję, ale nie aż w takim stopniu. Tato powiedział że mama też to miała i wyleczyła. Strasznie się ucieszyłam, że to można wyleczyć. Ale kto wie, czy mi to będzie w ogóle potrzebne, bo kto wie, czy doczekam.

Obradziliśmy z tatem, że poślemy Wańka do Chuchraja. Bo teraz na dworze jest strasznie jasno i nic nie pokazuje, aby miała być zmiana w pogodzie, a nawet gdyby posłać Miśkiem do Popowicza, kto wie, kiedy ten ciamajga będzie się widział z Churchajem, a że to jest sprawa nie cierpiąca zwłoki, bo i tak może być już jest za późno (Broń Boże), więc wolimy posłać Wańka i aby to nas kosztowało, a bylebyśmy wiedzieli, że to będzie miał Chuchraj już w tym samym dniu. Byleby tylko Wańków chciał pojechać. A z tymi listami pójdę do Popowicza wtedy, kiedy będzie ciemno i kiedy będę mogła.

15 III 1943 rok. Poniedziałek

W końcu dzisiaj rano Miśku przyniósł zdjęcia. I to nie oddał od razu, tylko naprzód przyszedł rano do stajni jak zwykle on, szuka sobie zwady, więc pyta się taty, czy się tato nie gniewa, bo on zdjęć nie przyniósł. I potem najnaturalniej na świecie zaczyna nam opowiadać, jak to on się wczoraj wspaniale bawił i że stracił na pijatykę 100 zł i żeby matce nie mówić (tymczasem sam jej jeszcze wczoraj powiedział). Dopiero gdy już miał odejść do roboty, wyciągnął zdjęcia i dał tatowi. Tylko zapomniał przynieść te 2 zdjęcia, z których się robiło. Te stare retuszowane. Wańkowa powiedziała, że po południu pójdzie do miasta, więc przyniesie.

No więc zdjęcia są, Chwała Bogu, bez żadnych na razie konsekwencji. Teraz tylko posłać. Tymczasem dzisiaj rano tato mówił Wańkowi co do jazdy do Hnatkowic, więc Wańków powiedział, że dzisiaj nie może, bo musi iść do kancelarii. Więc tato powiedział mu, że to nie musi być dzisiaj, że może być jutro i że co żąda, tato zapłaci. Żeby chociaż Pan Bóg dał, aby chciał jutro jechać.

Na dworze jest okropnie zimny wiatr. [...] Zmarzliśmy gorzej jak w zimie. Przenika do szpiku kości. [...] Gdy przyszliśmy wieczorem do chałupy, Wańka jeszcze nie było. [...] Wańkowa jest strasznie bezczelna. Zawsze gdy kupuje dla nas chleb,

to tato kraje 2 małe kawałki i „kosztujemy" chleb. Wtedy Wańkowa patrzy się nam prosto w ręce, ile bierzemy, a nawet raz zwróciła uwagę że trzeba tak dzielić, aby wystarczyło na cały tydzień. Ta sknera żałuje nam nawet naszego chleba. A ponieważ ona studiuje całymi dniami, jakby było najlepiej i najłatwiej nas wyzyskać, więc skorzystała z tego, że my i tak kosztujemy chleb, gdy kupuje go, i dała wczoraj na kolację chleb z tą jej lurą. A więc wczoraj przez cały dzień dała nam 2 razy tej lury i na obiad kapustę z kartoflami. I za to 25 zł, i jeszcze krzyczy ciągle, że to za mało. Bo ona nie liczy według tego, jak ją kosztuje, tylko według najwyższych cen, jakie są w mieście. Ale Chwała Bogu za to. Co byśmy zrobili, gdyby nas w ogóle nie chcieli trzymać.

Potem przyszedł Władek z miasta. Przyszedł z gwizdem na ustach i nawet nie popatrzył się w naszą stronę. Nawet na przywitanie nie powiedział pocałujcie mnie gdzieś. W ogóle jest on strasznie kontra naszemu pobytowi tutaj [...]. Więc przyszedł sobie pan hrabia Władzio do swojego pałacu i naprzód powiedział, że w ogóle nie chce jeść. Potem mu Wańkowa powiedziała, że przecież nie jadł obiadu i czy mu dać trochę kapusty. Ale my wiemy doskonale, co to znaczy. Wiemy dobrze, że Władek nie lubi kapusty, a więc Wańkowa na pewno na obiad zgotowała mu co innego i teraz daje mu kapusty. I gdy jej kochany synuś w końcu łaskawie pozwolił sobie podać kapustę i wciął sobie talerz kapusty z 3-ma pajdami chleba i garnkiem kawy, sama Wańkowa też wzięła sobie kapustę z chlebem, a my byliśmy chętnie zjedli też kapustę do chleba, więc inna {pomyślałaby, powiedziałaby sobie}, została ci kapusta z obiadu, daj po małym talerzyku tatowi i mnie. Ale jej i kapusty, ba, jej nawet ząbka czosnku szkoda, bo gdy leżał na kredensie i tato poprosił o 1 ząbek, to tak pół ustami ledwo, ledwo powiedziała: ta weź se pan. Skąpica, jakiej świat nie widział. Przez cały czas rozmawiał tylko z matką i z Miśkiem, a nas wyraźnie ignorował. [...] On dziś mnie ignoruje i ja jestem w jego mocy. Ale czyż ja jedna. Przecież świat przewrócił się do góry nogami, a całe g... wypłynęło na wierzch.

Tymczasem Władek opowiedział Wańkowej, że ojciec, to zn. Wańków, poszedł na parcelę. Bo Wańkowie też mają swoją „własność", a jest nią 327 sążniowa parcela na Lipowicy. Mniej aniżeli ćwierć morga. I Władek zaczął swoim idiotycznym gadaniem przekonywać Wańkową, aby sprzedać tą parcelę, [...] a on kupi sobie za te pieniądze buty oficerskie i motocykl. Nie mniej i nie więcej. A gdy Wańkowa zaczęła mu perswadować i mówić mu, że ją na „szelmostwa nikt nie namówi", jak się wyraziła, na to odezwał się ten przeklęty pluskwa, pijąc wyraźnie do nas: jak to, przecież masz Władek 5 morgów pola w Dmytrowicach, a może cię pan przyjmie na zarządcę, ale ty byś go wnet puścił z torbami. I zaczął pleść piąte przez dziesiąte, a Wańkowa niby gniewała się na niego i mówiła, że naprzód trzeba doczekać.

Potem Władek zaczął mówić co do Staszka, że nie pisze, że go może zabili i że się będzie dowiadywał, gdzie pojechał. A gdy Wańkowa powiedziała, że mu na Staszku nie zależy, więc Władek zaczął mówić, że jemu zależy, że Staszek nie musiał jechać, że mógł się doskonale ukryć, co znowu piło się do nas. Bo na pewno

przed odjazdem Staszek powiedział mu, że gdyby nie my, to on mógłby się doskonale ukrywać, ale przez nas nie może, a ta papuga to powtarza. Staszek, według mego zdania, tak naklepał temu idiocie w głowie, że ten tak odnosi się do nas. Bo tamten chociaż był bardzo mądry i nie wykazywał tego antysemityzmu i był bardzo grzeczny i rycerski w stosunku do nas, a poza oczy na pewno buntował. Jeżeli nam dokuczał, to też nadzwyczaj politycznie. [...] Wprawdzie Staszek przed samym odjazdem ośmieszył się, bo wziął od tata 12 zł na żyletki i na mydło i w ogóle więcej o nich nie wspomniał. Gdyby to było 12 tys. zł, to u takiego złodzieja rozumiem, gdyby wziął, ale świnić się na 12 zł? [...] Ale jak mój tato mówi, co można od woła żądać? Przecież to są takie przedmieszczańskie typy o niskich charakterach i niskich rozumach, ale na nasze nieszczęście my jesteśmy od nich zależni. Trudno. Chwała Bogu i za to. W okropnych nastrojach położyliśmy się spać.

16 III 1943 rok. Wtorek

Znowu tej nocy mnie i tatowi śniła się mama. Właśnie zastanawialiśmy się z tatą, co to jest. Tatowi już nie tak, ale mnie jak się kiedyś coś śni, to zawsze prawie mama. Żebym chociaż wiedziała, że żyje. Wstając i kładąc się, stale proszę Pana Boga, aby ją i Romka zachował przy życiu i abyśmy wszyscy czworo przeżyli tą okropną wojnę. Prawdę mówiąc, wątpię w to.

Wańków dzisiaj jak rano poszedł, wrócił dopiero wieczorem. Cały ruch. Ludzie często tu przychodzą do niego w sprawie tych pastwisk. [...] I każdy który chce dostać pastwisko, przekupuje Wańka. Od jednego dostał piękny prezent: 1/2 m pszenicy, tyleż żyta i jęczmienia. [...] Gdziekolwiek się ukaże, zaraz, jak opowiada, wódka wychodzi na stół. [...] I w dzisiejszych czasach, kiedy jest taka straszna drożyzna, kiedy kieliszek wódki kosztuje 10 zł, a kawałek tortu maluśki 2 zł, tu człowiek nie może sobie pozwolić na kawałek chleba, a ludzie tracą grube tysiące. Wprawdzie zawsze tak było, nawet przed wojną, ale kto przedtem pił, a kto teraz. Dobrze, zgadzam się z tym, że każdemu należy się, każdy może żyć i ma do tego prawo, ale jak teraz jest wojna, zabrali nam majątek, trudno, na to jest wojna, ale życie zostawcie! Gołych, bosych, ale zdrowych i żywych. Jak człowiek ma ręce i nogi, to może zawsze na kawałek chleba zarobić. Ale w tym sęk, że żyć nie dają. Strzelają i koniec. I właśnie w tym leży ich siła i ta stalowa organizacja. Dlatego są barbarzyńcami, że nie liczą się z jednostką, a człowiek jest u nich muchą, gdy staje im na drodze, więc usuwają go i po jego trupie dążą do celu. I tym sposobem mogą utrzymać miliony ludzi w karbach i nie pozwalają się rozwinąć jakimkolwiek rozruchom. Ale co mnie z tego wszystkiego? Nic. Ja jestem zamknięta, nie mogę się ruszyć, bieduję, Bóg wie, gdzie mama i Romek i dalsza rodzina, i Bóg wie, co z nami będzie i.t.d. ... ba, na wołowej skórze nie spisałby tych wszystkich tragedii, jakie my teraz przechodzimy.

Wczoraj przed wieczorem miałam małą przygodę. Otóż wyrzucaliśmy gnój spod świni. Wańkowa z kuczki do stajni, a ja ze stajni na dwór. Wtem nadchodzi jakiś chłop, na nasze szczęście zupełnie obcy, i pyta się o Wańkową. Więc ja odzywam

się do Wańkowej po ukr.: *„Пані Ванькова ту до пані хтось пришов”*[25]. Wańkowa zaraz wyszła, rozmawiała z nim chwilę przy drzwiach stajni, podczas gdy świnia wyszła sobie z kuczki i nim zdołałam ją odegnać, stanęła na progu, tak że chłop ją zobaczył. Tata nie widział, bo siedział w kącie. Już nie bałam się tak o siebie, jak o świnkę. Bo mnie nie zna, a na czole nie mam napisane, kto jestem, ale chodziło mi o świnkę, bo przecież świnia jest niekolczykowana, a za to grozi kara śmierci tak samo jak za nas. Wprawdzie świnka nas nie obchodzi, ale Wańkowej grozi to tak samo, bo co byśmy robili, gdzie byśmy poszli? Potem przyszła Wańkowa i powiedziała, że [się] tego chłopa nie boi, a że na mnie powiedziała, że też przyszłam w sprawie pastwiska i że... z Husakowa. [...]

Wieczór, gdy przyszliśmy do mieszkania, Wańków wbrew moim oczekiwaniom był bardzo przychylnie do nas ustosunkowany. Rozmawiał i opowiadał o wszystkim. Potem nie chciał nas puścić spać i długo tam siedzieliśmy. Przed kolacją kazał nam dać po kieliszku wódki, na co Wańkowa z bólem serca musiała się zgodzić, a Miśku na przekąskę dał może ćwierć kromki chleba, a na Wańka burknięcie, dlaczego tak kraje, odpowiedział, że tak robi, aby jak najmniej wyszło chleba. Tymczasem z tego wszystkiego Wańków nie może jechać do Chuchraja, bo z tymi pastwiskami będzie trwało cały tydzień. Wtedy kiedy jest podchmielony, bardzo jest dobry. Ponieważ Ch. powiedział do Wańka, że zwykle we środę jest w Przemyślu, postanowiliśmy posłać Wańkową jutro na Zasanie z listem i zdjęciami.

17 III 1943 rok. Środa

Zaraz po pojeniu tato prosi Wańkową, aby chciała pójść na Zasanie z tymi listami. Pech chciał, że Wańkowa właśnie dzisiaj fatalnie się czuje. Zdaje się że ma „ciotkę”. Poznałam po niej, że się źle czuje. Ale po naszych prośbach z ciężką bidą zdecydowała w końcu pójść. [...] Bardzo byliśmy jej za to wdzięczni. Mimo choroby poszła, bo to nie kosztuje pieniądze. Opowiedziała, że ta stróżowa mówiła jej, że Ch. w sobotę przeprowadza się do Prałkowiec i że zostawił tu jakiś list wczoraj dla „zarządcy”. Domyślamy się, że to dla Popowicza i że ten zarządca był i ten list zabrał.

Strasznie jesteśmy ciekawi, co to jest, ale co zrobić, strasznie jasno i nie ma mowy o tym, abym ja poszła do Popowicza. Napisałam do niego kartkę, aby jak ma jakieś listy dla nas, posłał nam i wieczorem uprosiłam Miśka, aby zaniósł. Ale przecież to jest taka pluskwa, jakiej świat nie widział. Specjalnie przyszedł tutaj droczyć się z nami, że dzisiaj będzie bardzo ciemno na dworze, bo księżyc już zaszedł. Gdy ja na to odezwałam się, żeby ze mną poszedł, odpowiedział, że prawdę mówiąc nie chce mu się. Potem gdy tata strasznie go prosił, aby chociaż wziął kartkę i zaniósł Popowiczowi, odpowiedział, że idzie tylko do Jurka i że jest zmęczony, i w końcu że mu się nie chce. A przecież Jurek mieszka prawie na rogu Smolki – Słowackiego i stamtąd do Popowicza jest może 30 kroków. Takie podłe nasienie świat nie

[25] „Pani Wańkowa, ktoś tu do pani przyszedł” (*Pani Wańkowa tu do pani chtos' pryszow*).

widział. Przyszedł specjalnie droczyć się, że będzie ciemno i że ja nie mam z kim iść. A w rzeczywistości było tak samo jasno jak codziennie. Powiedział, że weźmie rano. Ale to jest cygan i łotr, jakiego świat nie widział.

Tymczasem dzisiaj mieliśmy od wielu tygodni gazety, niemiecką i polską. A sytuacja przedstawia się bardzo źle. [...] Niemcy tymi łodziami podwodnymi straszne szkody robią i utrudniają Anglii i Ameryce przewóz sprzętu wojennego i żołnierzy, a przez to utrudniają, wprost uniemożliwiają ofensywę w Europie. „Jeżeli nawet będzie ofensywa, to nie w takim stopniu, jak się Amerykanie spodziewali" pisze gazeta polska sprawozdanie z gazety ang[ielskiej] i że „zakończenie wojny może się całkiem inaczej obrócić". Bo właśnie według tej gazety, pozostaje z Niemcami tylko wojna powietrzna albo blokada, i jak sama gazeta ameryk[ańska] przyznaje, oni tymi dwoma sposobami Niemców nie zwyciężą. [...] W każdym razie będzie to jeszcze długo trwało. Na froncie wschodnim, na półn[ocnym] i południ[owym] idą Sowieci naprzód, a w rejonie Charkowa i Kurska Niemcy. W każdym razie, według gazety walki są okropne. Walczy się o każdy metr ziemi. Coś strasznego. Budynków w ogóle nie ma w rejonie Charkowa. Co nie rozbite, to spalone. Turcja nawet się nie rusza. Wszystko razem wskazuje na to, że najprędzej wojna może się skończyć w listopadzie. Tak twierdzi mój tato. No a skąd wziąć jeść do listopada. Jak nie podwyższy, to mamy zapłacone do 18 maja. A Ch. posłał 18 kg pszenicy. [I] trzęsiemy się ze strachu, co może być tam, w tym liście. Może Ch. przestraszy się tych 2 listów naraz i że tam jest napisane, że my jesteśmy tylko zależni od jego posyłki, więc pomyśli: cóż ja będę karmił dwoje ludzi? Za co? Niech no i Bóg chroni ...

***

Tu dziennik Cesi się urywa. Nie wiemy dlaczego. Czy skończył się 80-kartkowy zeszyt, a kolejnego nie było? Miśku zabrał atrament? A może Cesia popadła w depresyjne odrętwienie i nie miała już ochoty na pisanie. Może przenieśli się z ojcem do Chuchraja, do Prałkowiec... Końca wojny doczekali chyba jednak w innym miejscu. Gdzie? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy.

Ale wiemy, że Cesia wraz z ojcem przeżyli. Cesia wyszła za mąż za pochodzącego z Przemyśla Leona Perlrotha, który w latach pięćdziesiątych stał się cenionym rządowym specjalistą od spraw międzynarodowych, wysyłanym na zagraniczne placówki. Była księgową. Mieszkali w Warszawie. Czy Cecylia miała poczucie, że „stała się tym, do czego miała pociąg", „panią w pełnym znaczeniu tego słowa"? Zapewne.

Ojciec Cesi, Andrzej (w księgach metrykalnych Anschel, potem Anzelm) Gruft, został w powojennej Polsce rolnikiem. Miał gospodarstwo rolne na Dolnym Śląsku. Zmarł w 1963 r.

Przeżyli też inni, wspomniani przez Cesię w pamiętniku, członkowie rodziny Gruftów. Wujek Bernard razem z Andą znaleźli się w Kanadzie, przeżyła Wikta – jej syn Tusiek mieszkał w Izraelu, jego córka Wiki (imię po babce Wikcie) mieszka w Beer Szewie. Ciotka Ida w Tel Awiwie. Z tych niewspomnianych w pamiętniku,

przeżyła ciotka Regina (mieszkała w Belgii, jej córka Zula mieszka w Zurichu) oraz Adolf – jego córka Stella też mieszka w Izraelu[26]. Nie przeżyła mama Cesi. Brat Cesi Romek też nie przeżył.

Kiedy od urzędnika MSZ Leona Perlrotha zażądano zmiany nazwiska na polskie, rodzina postanowiła przy tej okazji uczcić pamięć o Romku i zmieniła nazwisko na Romaniecki. Zmiana nazwiska pomogła na krótko. W 1968 r. Cecylia Romaniecka wraz z mężem i córką Aliną (imię po wspomnianej w pamiętniku babci) musiała wyemigrować do Izraela. Tam zmarła przedwcześnie na raka płuc w 1984 r. Jej mąż nadal zajmuje się stosunkami międzynarodowymi, na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie.

A inne wymienione w pamiętniku osoby? Teoretycznie, powojenne urodzinowe przyjęcie ze snu Cesi, w kamienicy Gruftów, mogłoby się odbyć (kamienica też ocalała i pozostała własnością Gruftów). Nie wszyscy by przyszli, ale byłby może Fredek Steinhardt, obecnie emerytowany reżyser mieszkający pod Tel Awiwem (jeśli chodzi o ścisłość, to Alfred Steinhardt stanowczo zaprzecza, jakoby miał się w getcie z Cesią całować, ale z satysfakcją potwierdza, że istotnie, Fela Schattner śpiewała o jego niebieskich oczach). Poldek Kunke z bratem też by pewno przyszli (uciekli do Czech i tam przeżyli). Byłaby przyszła Fela Schattner (zmarła w Australii, pozostawiła syna). Rysiek Frim też, ale nie grałby raczej w siatkówkę. Po niefortunnym skoku z pociągu do Auschwitz ten najzdolniejszy z całej klasy uczeń nigdy nie doszedł do siebie. Jest portierem w Londynie. Nie przyszedłby Julek Kleingrub – przepadł w pierwszej akcji. Przyszłyby wtedy może Chanka Unger i Luna Eisenscher. Obie zmarły niedawno w Izraelu. No, i oczywiście Julek Berger. Też by przyszedł. Córka Cecylii wspomina: „Pamiętam, że rok przed naszym wyjazdem spotkałyśmy na ulicy w Warszawie jednego pana, z którym mama długo rozmawiała. Gdy ten pan odszedł, zapytałam się mamy, kto to był i mama odpowiedziała, że to był Julek Berger".

Do takiego urodzinowego przyjęcia nie doszło. Podobnie jak rodzina Gruftów, wszyscy rozpierzchli się po świecie i nie utrzymywali ze sobą nigdy zażyłych stosunków.

„Służbowy dom Wańkowów położony był po prawej strony drogi (alei kasztanowej) łączącej ulicę Słowackiego z pałacem na Bakończycach. Niewielki drewniany dom z przylegającym budynkiem gospodarczym (stajnią) i wolnostojącą stodołą otoczony był drewnianym płotem z furtką od frontu i od tyłu. Siostrzeniec Zofii, który bywał tam jako mały chłopiec, wspominał, że z mieszkania przez niewielkie drzwi można było wejść do stajni. Wańkowowie wyprowadzili się stamtąd w 1953 r. i dom został rozebrany. Dziś w tym miejscu są ogródki działkowe.

Po wojnie w domu Wańkowów niewiele mówiło się o tym, że dziadkowie ukrywali Żydów. Jeżeli były wspomnienia, to raczej o synu małżonków Wańkowów

[26] Oboje przechowali się u przemyskiej rodziny Medwitów (Sprawiedliwych wśród Narodów Świata) i w greckokatolickim klasztorze.

zamordowanym przez Niemców. Mikołaj opowiadał też, że kiedy Niemcy przeprowadzali egzekucje na cmentarzu żydowskim lub na terenach fortu, to na ten czas kazali całej rodzinie opuszczać dom.

Stary Wańków, przed wojną cywilny pracownik WP zatrudniony jako strażnik terenów fortecznych na Bakończycach, mieszkał w służbowym domu w bezpośrednim sąsiedztwie fortów, po wojnie emeryt, zmarł w 1966 r. Wańkowowa zmarła w 1989 r..

O najstarszym synu Staszku (Eustachym, nie Stanisławie, jak odczytała zdrobnienie Cesia) słuch zaginął. Podobno uciekł z robót w Niemczech i przez Francję przedostał się do polskiego wojska na Zachodzie"[27].

Włodzimierz (czyli Włodek, nie Władek, jak pisze Cesia), strażak, żołnierz komendy obwodu AK, pseud. „Serwo", aresztowany w lecie 1943 r. „za nielegalną działalność", skazany na śmierć, a następnie „przeznaczony do ułaskawienia", został rozstrzelany 18 marca 1944 r. w grupie 10 zakładników, w odwecie za napad i zastrzelenie niemieckiego funkcjonariusza[28]. Takie to były „tajemnicze wyprawy" Władka-Włodka do miasta...

Michał zmarł w 1998 r. Pozostawił po sobie troje dzieci. „Wspominał, że kilka lat po wojnie, kiedy był pracownikiem magistratu, pojechał służbowo do Warszawy i przypadkowo spotkał tam Żydówkę, która ukrywała się u nich w domu, w towarzystwie męża, wysoko postawionego urzędnika jakiegoś ministerstwa. Wspominał, że była ładną kobietą"[29].

Losów 5 morgów pola w Dmytrowicach nie znamy. Właściwie nie wiemy nawet, o które Dmytrowice wówczas chodziło. Czy o te koło Czyszek, położonych obecnie po stronie ukraińskiej (skąd pochodził ojciec Andrzeja Grufta), czy o te koło Hnatkowic (wspominanych w pamiętniku), na północ od Przemyśla. A różnica, jak już wiemy, jest zasadnicza. W każdym razie, ani rodzina Cesi, ani rodzina Wańkowów nie ma na ten temat żadnych informacji. Najwidoczniej nie były warte przekazania potomności.

Opracował *Łukasz Biedka*

[27] Rozmowa przeprowadzona przez Jacka Szwica z dziećmi Michała (Miśka) w marcu 2009 r.

[28] Zob. S. Dąbrowa-Kostka, *Hitlerowskie afisze śmierci*, Kraków 1983, s. 26, 205.

[29] Rozmowa przeprowadzona przez Jacka Szwica, *op. cit*.